Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 16 grudnia 1945 r. | Nr. 55

JULIAN PRZYBOŚ

W sprawie pisarstwa ludowego

Ubiegłego roku, owej pamiętnej jesieni, radosnej i nadzieją brzemiennej jak wiosna, począł się w Lublinie i ów ruch, który doprowadził niedawno do utworzenia Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich. Pamiętam pierwsze numery „Wsi", inicjatorki nowej literackiej ludowości. Już wówczas były one przedmiotem dyskusji, w których roztrząsano sprawę pisarstwa ludowego. Dyskusje nie opuszczały gołych ścian wspólnego pokoju, gdzie mieściła się cała wyzwolona literatura polska; jedna wspólna drukarnia dla wszystkich pism i ten sam brak papieru zmuszały do powściągu polemik drukowanych. Dział literacki „Wsi" (będącej wówczas pismem przede wszystkim politycznym) prowadził Jastrun i on to odkrył autentyczną chłopkę-poetkę, Stefanię Rudnicką. Ileż uciechy mieliśmy, czytając jej wiersze. Tak oddalone od współczesnej kultury literackiej, naiwne i prymitywne, że, by z czymś porównać, zestawialiśmy je z Rejem: podobna nieobrotność zdania, rzeczowość, naiwność i szorstkość w wyrażaniu ubogich myśli. Ujmowała nas najprostsza prawda ludzka, patrzyliśmy na te wiersze jako na nareszcie niesfałszowany literaturą dokument pierwopisarstwa: te wiersze działały na nas jak nowonarodzona pieśń ludowa, (nowonarodzona, a więc wolna od powszechnych w pieśni ludowej chwytów konwencjonalnych). Zdaje się, że w radio lubelskim urządziliśmy Rudnickiej kwadrans poetycki i że na jej temat ogłosiłem artykulik we „Wsi".

Czy był to tylko kaprys smakoszów, którzy mając dość ciastek, rzucają się — przez chwilę — na razowiec? Czy na tego rodzaju dokumenty samorodnej twórczości trzeba patrzeć jako na objawy zacofania, a więc lekceważyć i pomijać? Twierdzić może ktoś, że to tylko świadectwo niedorozwoju kulturalnego wsi, które należy, jak się to mówi, zlikwidować; Stefanię Rudnicką, jeśli to możliwe, wykształcić artystycznie na Konopnicką, a nie cackać się z jej pierwocinami. Że takie tworzenie rezerwatów pierwotności literackiej było by tak samo wsteczne, jak chęć utrzymania na stałe naftowego oświetlenia i niedopuszczenia elektryczności na wieś, lub propagowanie słomy jako jedynego pokrycia dachów tylko dlatego, że owa „strzecha" jest pierwotniejsza i brzmi poetyczniej niż dachówka.

Sprawa nie wydaje mi się tak prosta, a analogie nie podają jej dłoni. Zagadnienie trzeba sformułować tak: Jak się to dzieje, że jako poezję przeżywamy zarówno utwór Słowackiego jak i Stefanii Rudnickiej, a odrzucamy w naszym odczuciu Ferdynanda Kurasia i Stanisława Przybyszewskiego? **Dlaczego odczuwamy poezję w pieśni ludowej**, a nie ma poezji w balladach o „Powsinogach" Zegadłowicza? Wydaje się, jakby skrajni zwolennicy bezprzymiotnikowej poezji kierowali się nieświadomie wiarą w poezję uczoną, ale od czasów romantyzmu trudno przyjąć tytuł i autorytatywną pozę „poetae docti". Zwolennicy postępu technicznego w poezji byliby konsekwentni tylko wtedy, gdyby żądali od Stefanii Rudnickiej osiągnięcia szczytów nowoczesnej formy i twórczej postawy nowatora. Byliby konsekwentni, mieliby rację — ale Rudnicka i Stopczyk (autor przyśpiewek tanecznych ogłoszonych we „Wsi") za starzy są na rozwój, oczytani i kształceni z pewnością staliby się Kurasiami.

„Si paulum a summo dicessit, vergit ad imum" — powiedział o poecie Horacy; w poezji liczy się tylko osiągnięcie szczytowe, poezja i mierność — to przeciwieństwo, nie można być poetą słabym, niedoskonałość strąca dzieło w przepaść bezwartości. Tak twierdził poeta, który mniemał, że posiada obiektywne normy doskonałości artystycznej, a więc i szczyt Parnasu miał dla niego jeden wierzchołek. Ale może Parnas ma dwa wierzchołki i tylko na jeden z nich trzeba się wspinać, bo drugi jest tak niski, że niedostrzegalny?

Wyraziłem kiedyś myśl, że poezja jest wynikiem **ostatecznym**, najdalszym, codziennych doświadczeń, rzecz zaczyna promieniować poetycko wtedy, gdy doznana wszechstronnie, odczuwana bywa jako kres i zarazem początek. Przykład: jabłko królewskie. Zanim owoc jabłoni stał się powszechnym znakiem pełni władzy, posiadania świata, doskonałości osiągnięcia, — najwrażliwszy spośród wszystkich ludzi, którzy ważyli w dłoni okrągłą dojrzałość jabłka, odczuł jego kształt jako **początek nowego jego znaczenia** — ten człowiek był poetą. Takie konkretne przeżycie — dochodzi się do niego po wielu doświadczeniach — to ten błysk poetycki, bez którego żadna rzecz nie wyjdzie z cienia zwyczajności. Nie chciałbym być źle zrozumiany, nie chodzi tu o proces alegoryzacji, ale o doświadczenie, finalizujące w jednym ostatecznym oglądzie długi szereg rokowań między przedmiotem a podmiotem, o **status nascendi** poezji. Zdaje mi się, że ten fakt, iż przyjmujemy prymityw jako mimowolne dzieło sztuki, wytłumaczyć można **skończonością** doświadczeń ludzi prostych. Świat ich jest skończony, jak kula okrągły w każdym punkcie stycznym z ich odczuciem. Twórca prymitywny nigdy nie bywa w wyrazie konwencjonalny, co chwila zaskakuje nas jakąś niespodzianką; nawet nieporadność kryje w sobie rzecz tak dla samorodnego autora oczywistą, bo wielekroć aż po jej kres wyczerpaną, że byle jaki wyraz zastępuje mu namacalną wszystkość doznania. Oracz po całodziennej orce, puściwszy wreszcie czepigi pługa, długo jeszcze, jak skrót całodniowego trudu odczuwa w dłoniach ich kształt. Słowo człowieka pracy fizycznej jest jak odcisk, jak świadectwo długotrwałego kontaktu z materią.

Dlatego twory prymitywnych autorów działają podobnie jak dzieła sztuki artystów świadomych, dlatego nie myliliśmy się, mianując poezją nieporadne na oko wiersze Stefanii Rudnickiej, a odrzucając jako pozbawione poezji gładkie wierszowania wielu rymotwórców świadomych zasad poetyki szkolnej. Bo **świadomy** artysta, jeśli chce osiągnąć ten drugi, wyższy wierzchołek Parnasu — nie może zatrzymać się na etapie drogi przebytym już przez poprzedników, musi ich doścignąć, wybrawszy własną drogę, na samym szczycie. Artystę świadomego i nieświadomego (prymitywnego) łączy w procesie twórczym jedna wspólna cecha: **niekonwencjonalność** wyrazu. Artysta świadomy uzyskuje ją dopiero wtedy, gdy opanowawszy wszystkie środki, jakie wypracował jego czas, przekracza je, jako niedostateczne i wywodzi trafniejszy, odkrywczy wyraz. Wtedy dopiero staje się poetą, który od tego szczytu, od którego zaczyna się poezja, nie odstępuje.

A na owym horacjańskim szczycie artystycznym, na którym dopiero dzieje się sztuka, poeta działa tak, jak prymitywny układacz piosenki czy snycerz wiejski: najmniej — tyle, ile musi; dlatego staje się jakby naiwny, wyzbyty wszelkiej pozy i udrapowania, naturalny. Zdobyta biegłość staje się nieodczuwalna, sztuka jest jakby nieobecna.

Kwestionuje się osiągnięcia literatury międzywojennej, nawołuje się — słusznie — pisarzy do zmiany postawy moralnej. **W epoce związków zawodowych zasadniczą postawę moralną formuje etyka zawodowa.** Ody krytyków, wzywające do pchnięcia świata na nowe tory, pozostaną kaznodziejstwem dopóty, dopóki się nie wskaże sposobów wcielania nowych idei w określony kształt artystyczny. Z rewizją ideologiczną musi iść w parze rewizja środków artystycznych. W sprawdzaniu podstaw moralnych swego pisarstwa trudno się zatrzymać na jakimkolwiek wzorze z przeszłości, nie wolno przyjąć bezkrytycznie żadnej tradycji. Doświadczenia moralne, jakie narzuciła wojna, były tak wstrząsające, że pod ich ciśnieniem runął do podstaw system sztuki niejednego poety, niejedna poezja nie wytrzymała próby wojennego czasu. Niejeden pisarz wygląda drogowskazu, straciwszy zaufanie do swoich dotychczasowych narzędzi artystycznych, szuka najpierwszych, fundamentalnych prawd ludzkiego wyrazu, pragnie znaleźć nową i niezawodną zasadę swojego pisarstwa.

Czy więc dla tych, którym ich własne dawne słowo nie wystarcza, którzy szukają rzetelnych sprawdzianów swej sztuki, nie było by pomocnym badawcze przyjrzenie się sztuce prymitywnej, pieśni i współczesnej prozie ludowej? Ci, co nie wiedzą i szukają jak pisać, czy nie winni by — w poszukiwaniu zwierciadła odbijającego ich własne oblicze twórcze — przejrzeć się w utworach ludowych? Cofnąwszy się w poszukiwaniu nie tradycji i nie wzorów, lecz sprawdzianu, aż do podstaw sztuki pisarskiej, może znaleźliby w prymitywie przykład, na którym dałoby się sprawdzić działanie **elementów** sztuki pisarskiej. Może od takiego studium należałoby zacząć rewizję własnych sposobów produkcji artystycznej i potem budować nową, własną sztukę pisarską.

Jeśli u kolebki romantyzmu pieśń gminna była budzicielką natchnień stylizatorskich, to dziś może być tylko katalizatorem świadomości artystycznej piszących. Było by naiwnością oczekiwać od tych samorodnych natchnień ludowych jakiegoś dalszego ciągu, lub choćby pobudki do twórczości popularnej. Pieśń ludowa zamilkła w naszych czasach, Stefania Rudnicka jest jej epigonem, jest, a raczej była, bo przeczytawszy nieco więcej kalendarzy i przeszedłszy kurs oświatowy, ta chłopka rymuje już „uczenie", spadając „ad imum", do nicości artystycznej. Współczesny ludowy ruch literacki nie może tedy, jak przed wiekiem literatura romantyczna, otaczać kultem skończonej sztuki prymitywu ludowego. Poezja jest sztuką słowa najtrudniejszą, chłop współczesny, poza zanikającymi wyjątkami anonimowych układaczy śpiewek w rodzaju Stopczyka, w poezji wypowiedzieć się nie potrafi. Pouczający dla mnie jest przykład Andrzeja Urbana z Lutczy; ten autor pamiętnika będącego niewątpliwie dziełem sztuki, składa, gdy się do tego niepotrzebnie bierze, rymy bez wartości i celu.

Ale w dziedzinie **prozy** pisarstwo ludowe poszczycić się może osiągnięciami wielkiej miary. Kto wie, czy nie mają słuszności, którzy za najlepsze dzieło prozatorskie przedwojennego dwudziestolecia uważają **„Pamiętniki chłopów"**. Bliskość czasu przysłania wielu krytykom pierwszy plan widoku prozy w międzywojennym dwudziestoleciu. Artystyczna proza polska tego czasu — tak przewiduje jeden z moich przyjaciół — nie będzie czytana za pół wieku (dziś badajmy, która z tych powieści jest żywa), ale nasi synowie czytać będą dokumentalną prozę „Pamiętników". Nic się tak szybko nie starzeje jak powieść, gatunek ciągle jeszcze wypracowujący swoją formę, niezdefiniowany artystycznie, i żyjący głównie aktualnością spraw społecznych. „Pamiętniki chłopów", mimo że ich autorowie nie mieli świadomych zamierzeń artystycznych — a może właśnie dlatego — przemawiają i przemawiać będą najsilniej jako wyraz społecznych przemian tych czasów. Jest to najprawdziwsza książka dwudziestolecia i to nie tylko ze względu na prawdę życia „nieskłamaną w niczym", a zwłaszcza względami artystycznego przystroju, ale także często ze względu na język. Język ten nigdy nie zdobi, nie przesłania treści, jest w istocie językiem prozy, a proza tak **gęstą rzeczywistością**, jak żadna powieść polska.

Zastanawiałem się dlaczego ja, który powieści czytuję niechętnie, przeczytałem „Pamiętniki chłopów" jednym tchem, nie mogąc się od nich oderwać, dlaczego wielu znawców to pierwsze znamienne dzieło pisarstwa chłopskiego przenosi nad artystyczną produkcję powieściową minionego okresu? Dzieje się to zapewne dlatego, że fikcję powieściową, nawet najbardziej realistycznie uprawdopodobnioną, odczuwa się jako pewien fałsz w utworze, który ma dać prawdziwy **wizerunek** życia. Fikcja artystyczna w nowoczesnej powieści stała się rzeczą najbardziej wstydliwą i każdy jej wyraźniejszy zarys odczuwamy jako coś niestosownego, coś, co obniża dzieło do efektów romansu sensacyjnego. Drażni każdy kompozycyjny skrót-fałsz dokonany na opowiadanym życiu, a trzeba mistrza, żeby taki konwencjonalny fałsz w powieści zdołał podać tak, byśmy go właśnie za taki konwencjonalny fałsz nie uważali. Dlatego nic się tak szybko nie starzeje jak powieść, zostają w pamięci czytelników i bywają czytane tylko wielkie wizje epickie, epopeje. Wielu czytelnikom, zwłaszcza tym, którzy w powieści szukają rozwiązań podstawowych zagadnień życia i kultury współczesnej, nie przypada do smaku intryga, choćby nawet niewyszukana, nie potrzeba im zmyśleń. To też jedną z wielkich satysfakcyj, jaką dają takie dokumenty prozy autentycznej, jak „Pamiętniki chłopów".

„Piękna Madonna" z Knurowa w pow. rybnickim na Śląsku, z r. około 1420. Należy do typu „lirycznych" Madonn, powstałego na obszarze Słowiańszczyzny zachodniej. Znaleziona w r. 1928 i wcielona do zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach jako jeden z czołowych zabytków śląskiej rzeźby gotyckiej. W r. 1939 zabrana przez okupanta niemieckiego i do tej pory nie odnaleziona.

jest to, że czytając je, wypełnia się samemu brakujące ogniwa, samemu wyciąga się wnioski z faktów i maluje w fantazji obraz życia. Parafrazując Heinego, można by rzec: **Pragnę nagiego ciała** nie przybranej fikcją powieściową **rzeczywistości, duszy-fantazji mam dość sam.**

Taką nagą prawdę życia odsłania nam autentyczna proza chłopska. W „Pamiętnikach chłopskich" i w „Młodym pokoleniu chłopów" spotykamy utwory niezwykle mocno poruszające czytelnika, utwory będące nie tylko dokumentami surowego życia, ale i niezamierzonymi dziełami sztuki. Od współczesnej wsi nie należy oczekiwać poezji o znaczeniu ogólnopolskim, urodzaj na poetów przyjdzie później, z pierwszą po reformie rolnej generacją inteligencji chłopskiej, ale **już dziś chłop dać może wartościową prozę.** Proza ta może oddziałać poważnie na charakter powieści artystycznej, na styl i zakres zagadnień prozy oświeconej. Nie tylko Wiktor, Kurek, Piętak, Burek czy Morton — pisarze poruszający tematy ludowe — syciliby pragnienie rzeczywistości wiejskiej u tego źródła samorodnej twórczości chłopskiej, ale dla całej artystycznej twórczości prozatorskiej chłopskie pisarstwo dokumentalne stanowiłoby niejako zwierciadło stylistyczne: autorzy, przeglądnąwszy się w prymitywie, nie wpadaliby tak łatwo w maniery stylistyczne. **Fala autentycznej prozy może zmyć wiele przesądów artystycznych.** Ale ta fala nim popłynie, musi mieć swoje łożysko. Nie ma w tej chwili pisma literackiego, które by było naprawdę związane ze wsią, nie ma pisma masowego. Tygodnik „Wieś" nie spełnia przyrodzonej mu, zdawało by się, roli, nie ma żywotnych związków z chłopem, nie organizuje masowego pisarza i czytelnika na wsi.

Może nieustanne ataki na to pismo i na Oddział Wiejski ZZLP utrudniają inicjatorom chłopskiego ruchu pisarskiego rozwinięcie swobodnej myśli organizacyjnej i śmiałego planu? „Wieś" coraz bardziej staje się miejska, napastowana przez inteligentnych i uszczypliwych przeciwników marnuje wiele energii na puste odgryzania się polemiczne, dosłyszalne tylko dla wtajemniczonych „miejskich" literatów. Trudno ją namawiać, aby wyszedłszy poza rogatki miejskie, popierała samorodki w rodzaju Rudnickiej czy Stopczyka, ale gromadzenie i krytyczne oświetlanie takich autentyków wiejskości było by, być może, pewniejszym zaczątkiem ruchu, niż sentymentalne sielanki pisane przez znanych skądinąd poetów. Niechby się naprawdę wypowiedziała we „Wsi" — wieś. **Bez sielanek, jak najdalej od literatury** — to na początek winno być hasłem pisma, które by miało wielką ambicję nawiązania łączności z masą chłopską. Dotychczas tygodnik „Wieś" ma fałszywą, bo małą ambicję: robienia literatury jakby drugiej klasy, nieprawdziwej, nie dającej obrazu wsi zgodnego z doświadczeniem teraźniejszości.

Cóż wspólnego z życiem wsi mają pełne ozdobności wiersze poetów „autentystów", tak dalekie od autentycznego kręgu wsiowych doświadczeń. Dopóki się chłop nie dopracuje własnego wyrazu poetyckiego, nie podrzucajmy mu **kukułczych jaj stylizowanych na pisanki.**

Oddział Wiejski ZZLP ma kapitalne zadanie przed sobą: **poruszyć pisarstwo chłopskie.** Niechże w piśmie literackim, przeznaczonym dla wsi, wypowie się wieś, a nie grupka znanych pisarzy, tyle tylko mających wspólnego z chłopem, że z chłopów pochodzą. Wzorem takiego pisma mógłby być dawny „Miesięcznik Literacki", redagowany przez Wata, masowe pismo o wielkich zasługach społecznych i artystycznych. „Miesięcznik" nie ograniczył się do szczupłego grona pisarzy „proletariackich", lecz otworzył się szeroko reportażowi, korespondencji i prozie dokumentalnej. O takie pismo o szerokim zasięgu czytelników i korespondentów, o pismo masowego autora winien starać się Oddział Wiejski. Jeśli tygodnik J. A. Króla chce odegrać właściwą rolę, winien by przekształcić się na tak pojęte pismo masowe.

Lud polski jest niezwykle zdolny. By mieć prawo do takiego stwierdzenia, by takie twierdzenie nie wyglądało na gołosłowną przechwałkę — trzeba być ze wsi, trzeba znać wieś. Ileż talentów marnuje się z nędzy i braku oświaty! W mojej wsi rodzinnej mógłbym wskazać aż kilku samorodnych artystów i jednego wynalazcę: rzeźbiarz dłubie świątki dla okolicznych kaplic i kościołów, dwaj utalentowani muzycy dudlą na organach, a wynalazca — ten, jeśli mu dostarczyć surowca, potrafi wszystko — od szybowca do zegarka — przeważnie łata żelazne garnki. W sąsiedniej Lutczy boryka się z nędzą autor „Pamiętnika" nr 4 z drugiego tomu „Pamiętników Chłopskich"; między wywózką gnoju a orką, siejbą a żniwem zapisuje materiał do powieści z czasów okupacji.

Chłop-pisarz nie odezwał się jeszcze w naszej literaturze pełnym głosem, gaworzy dopiero pierwsze słowa. Trzeba stworzyć mu warunki pełnej wypowiedzi. To winno być głównym zadaniem Oddziału Wiejskiego ZZLP. Oddział winien działać na wsi, związać się z terenem, organizować pisarstwo chłopskie rozpisując **konkursy, ankiety, gromadząc korespondencję, zbierając autentyczne relacje z niedawnych wydarzeń wojennych.** Oddział Wiejski ZZLP winien otworzyć usta bezgłosemu chłopu. Tylko tak przyśpieszy narodziny pisarskie nowych Orkanów i Reymontów.

Julian Przyboś

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Dzieje emigracji londyńskiej

Po śmierci Sikorskiego*)

W parę dni po śmierci generała Sikorskiego do biur Polskiego Radia w Londynie zgłosił się pułkownik Roman Umiastowski, niefortunny speaker Polskiego Radia w Warszawie we wrześniu 1939, z już napisaną pogadanką, z której — jak na wstępie zaznaczył — nic skreślić nie wolno. Kierownicy londyńskiego radia nie mieli w nadmiarze cywilnej odwagi, tym bardziej, że tytuł pogadanki Romana Umiastowskiego opiewał „Generał Kazimierz Sosnkowski". Ale pracująca w radio sekretarka wyręczyła ich w odpowiedzi:

— Panie pułkowniku, pańska pogadanka nie pójdzie.

— Co? Jak? — zaperzył się radiowy pułkownik.

— Nie pójdzie. O Rydzu-Śmigłym mówiło Polskie Radio dopiero po pogrzebie marszałka Piłsudskiego; o generale Sosnkowskim będzie mówiło Polskie Radio dopiero po pogrzebie generała Sikorskiego.

Generał Sosnkowski powinien był posłać tej pannie piękny bukiet róż za to, że ustrzegła go przed nietaktem gorliwca i przed tak mało pożądanym heroldem jak p. Umiastowski. Ale zdarzenie było dobrą ilustracją sytuacji. Pokazywało, jak szybko na miejsce Sikorskiego wchodził Sosnkowski, do ostatniej chwili jego główny, wojskowy i polityczny przeciwnik, a także, jakie to siły wynosiły go w górę. Tegoż bodaj dnia zadzwonił do mnie prof. Kot z zapytaniem, czy chcę pojechać do Plymouth na spotkanie „Pioniera", który płynie z Gibraltaru wioząc zwłoki generała. „Oczywiście" — brzmiała odpowiedź. Kot jeszcze mówił, żebym zawczasu przybył na dworzec, zarezerwował sobie miejsce, „bo potem będzie tłok". Uśmiechnąłem się smutnie z tej profesorskiej naiwności, wiedziałem, że nie będzie żadnego tłoku. Istotnie, nazajutrz na dworcu zjawili się tylko Kot i Kukiel, jako przedstawiciele prezydenta, jacyś przedstawiciele kogoś tam jeszcze. Kot długo jeszcze chodząc po peronie wyszukiwał zaufanego i ulubionego adiutanta Sikorskiego, z którym był zresztą w złych stosunkach, ale którego obecnie potrzebował do czegoś i dziwił się, tak naiwnie jak wczoraj, że go nie ma, że pewnie mu się coś stało. Adiutant, w rzeczy samej, nie mógł wyjechać po ciało swego wodza. Miał już bowiem nowego. Adiutantował Sosnkowskiemu.

Było coś niezwykle przejmującego w tej samotnej uroczystości, gdy do postrzępionych od bomb basenów Plymouth wpływał od zachodu polski okręt wojenny z biało-czerwoną plamą — trumną okrytą sztandarem — na swym najwyższym pokładzie. Okręt ten miał niebawem zatonąć, a teraz, w zachodzącym świetle, był jak srebrne, to znów czarno oksydowane widmo. Kompanie marynarki — polskiej i brytyjskiej — wysunęły się dwiema szczupłymi, ciemnymi kolumnami na betonowym tle mola, przed nimi pięć, siedem najwyżej osób, — oto byli wszyscy Polacy przybyli witać trumnę Sikorskiego. Wieczorem pociąg odszedł. Na londyński dworzec Paddington przybył nad ranem, wysiedliśmy wszyscy, orkiestra grała hymn, szliśmy długim peronem za trumną w kierunku wielkiej ściany ludzkiej, barwy khaki. Na tle tej zwartej, potężnej ściany, jaka wyrosła na drodze ostatniej Sikorskiego, czerniła się tylko jedna niewielka plama. Kiedyśmy dochodzili, ściana khaki ożywiła się twarzami. Poznawaliśmy kolejno twarze wojskowych z hotelu Rubens, centrum władz wojskowych w Londynie, twarze znajome z GISZ-u, z Angers, ze sztabu, te same z Warszawy jeszcze, które wszystkie Sikorskiego przeżyły i przetrwały. Na ich tle tonął zupełnie niewysoki człowiek w cywilnym czarnym ubraniu, o skupionej, spokojnej twarzy. Był to Stanisław Mikołajczyk.

Po śmierci marszałka Piłsudskiego opinia oglądała się na Rydza-Śmigłego, gracze polityczni na Mościckiego. Było coś podobnego i teraz. Wicepremier Kwapiński zapytany po śmierci Sikorskiego o prezydenta, powiedział: „Prezydent? On odmłodniał o dwadzieścia lat!", i przypominało to bardzo rolę, jaką po śmierci Piłsudskiego począł odgrywać schowany dotąd w kąt Ignacy Mościcki. Prezydent Raczkiewicz bolał podobnie nad tym, iż był stale zaćmiewany przez Sikorskiego, czy też raczej, jak to sobie tłumaczył, że Sikorski spycha go w cień. Postanowił ten stan rzeczy odmienić. Pierwszą jego czynnością było mianowanie nowym naczelnym wodzem generała Kazimierza Sosnkowskiego. Raczkiewicz uczynił to na podstawie prerogatyw konstytucji marcowej wbrew zobowiązaniom, jakie złożył przy objęciu swego wysokiego urzędu, bez porozumienia z rządem czy kimkolwiek, — poza może najbliższym otoczeniem. Te same koła, które zwalczały Sikorskiego, wysuwały Sosnkowskiego naprzód. Jeśli chodzi o wierność linii Sikorskiego, to było to mniej więcej tak, jakby w maju 1935, po śmierci marszałka Piłsudskiego, Mościcki mianował jego następcą Sikorskiego. Politycznie Raczkiewicz, wojskowo Sosnkowski, stawali się teraz wodzami emigracyjnej Polski. Ale wszystko to działo się tylko na wewnętrznym, polskim podwórku. Dla świata miarodajny był zupełnie inny człowiek, premier polskiego rządu, Stanisław Mikołajczyk.

Był to wśród polityków polskich człowiek niewątpliwie nowy, nawet zupełnie nowy. Młody jeszcze, urodzony w Westfalii, z rodziców emigrantów robotniczych, osiedlony w Poznańskim, Mikołajczyk był człowiekiem, w którym nieraz bardzo od siebie różni ludzie upatrywali swego następcę. Tak zrobił Witos, będący na wygnaniu w Czechosłowacji przed 1939, kiedy spierał się ze zbyt samodzielnym Ratajem i szukał młodszego, bardziej zależnego od „wójta" działacza. Mikołajczyk wyrósł wtedy szybko na jednego z wodzów Stronnictwa Ludowego, a także na bardzo popularną postać w rodzinnym Poznańskim. Był jednym z nielicznych działaczy ludowych, który zmobilizowany w 1939 roku, dobrnął z oddziałem do Rumunii i tak znalazł się za granicą. Tu zwrócił na niego szczególniejszą uwagę Herman Liebermann i zalecił go Sikorskiemu. Sikorski docenił w Mikołajczyku jego talent organizacyjny, zdolność do wytężonej kilkunastogodzinnej pracy, wytrwałość, systematyczność, opanowanie. Począł go szybko wprowadzać w tok najważniejszych spraw państwowych. Sam Mikołajczyk należał do tych nielicznych polityków polskich, którzy starali się sięgać wzrokiem poza opłotki emigracyjnego podwórka. Nauczył się szybko, gruntownie i poprawnie angielskiego, poznawał Anglików, poznawał Anglię, Francję, Amerykę, Zachód, ich sposób myślenia, rozumowania, wszystko to, co z tak czarującą megalomanią ignorowało tylu innych. Najlepiej z całej emigracji polskiej opanował sztukę mówienia. W okresie wyjazdu Kota do Rosji wysunął się jeszcze bardziej naprzód, objął bowiem po Kocie ministerstwo spraw wewnętrznych, to znaczy cywilne kontakty z krajem, potem został wicepremierem i zastępował Sikorskiego w wypadkach jego nieobecności. Sikorski nader wyraźnie promował go na swego następcę. W takiej roli wprowadził go do Churchilla, w takiej zawiózł go do Ameryki i przedstawił Rooseveltowi, w takiej wreszcie, na publicznym występie w Chicago, przedstawił go Polonii amerykańskiej. Jeśli kto miał być dziedzicem politycznym Sikorskiego, to rzecz jasna, ani Raczkiewicz, ani Sosnkowski. Tylko i jedynie Mikołajczyk.

Mikołajczyk był jakby stworzony do podobania się na Zachodzie. Nie wierzyłem, kiedy jeden z najwybitniejszych publicystów amerykańskich, Quentin Reynolds mówił, że zrobił on w Stanach lepsze wrażenie niż Sikorski; ale Quentin Reynolds wyjaśnił mi to dosyć prosto. „Po pierwsze Ameryka nie lubi premierów będących generałami, po drugie nie lubi ludzi nie władających angielskim, po trzecie ludzi gestykulujących. Woli opanowanych, małomównych, zrównoważonych". Istotnie, taki był Mikołajczyk. Oczywiście, wszystkie te cechy były tylko obciążeniem, jeśli chodzi o Polaków w Anglii. Postawny Raczkiewicz, krasomówczy generał Sosnkowski, o ile łatwiej mogli zdobyć serca niż ten milczek, z gruba ciosany, z łysiną i brzuszkiem, udzielający się mało. Nadomiar złego, Mikołajczyk bardzo wyraźnie nie lubił inteligentów. Pod tym względem był on bardzo pokrewny wielu ludziom we współczesnej Polsce, gdzie także słyszy się rojenia, iż po „pozbyciu się" Żydów i ziemian należałoby nareszcie „zrobić porzundek" i z tą ostatnią zakałą Rzeczypospolitej. Mikołajczyk miał do inteligencji nieufność polskiego chłopa, niechęć przyrodzoną grossbauera i lekceważenie ludowca. Posiadał on pod tym względem właściwości dosyć częste u dawnego „Piasta" czy „SL", — mniejsza o to, czy nazwiemy je zaletami czy wadami. Ponieważ na emigracji element inteligencki był i liczny i wpływowy, nie miało mu to ułatwiać zadania. Z tej postawy wynikało konsekwentnie niedocenianie prasy i jej roli, zjawisko znowu tak częste u naszych ludowców w przeszłości (mimo wszystkie skutki, jakie to ich kosztowało), co także miało mścić się niebawem. Wreszcie był to człowiek po chłopsku ostrożny, powolny i nieufny. Każda z tych cech może być u mężnia stanu bądź wadą, bądź zaletą. Życie wymaga od nas czasem szybkości decyzji, a nadmiar ostrożności bywa czasem taką samą prawie wadą, jak jej brak. Co do nieufności Mikołajczyka to, niestety, w londyńskim swym okresie bywał on nieraz bardzo nieufny w stosunku do ludzi, którzy na to na pewno nie zasługiwali, obdarzając za to zaufaniem ludzi, którzy go niebawem w pełni zawiedli.

Nade wszystko jednak Mikołajczyk był politycznym uczniem Sikorskiego. Szkoła Sikorskiego zawierała moc niezwykle cennych rzeczy, jak liczenie się z opinią zagranicy, jak realizm zamierzeń i możliwości, jak zręczność, ale zawierała i wiele mniej doskonałych, które pomściły się tak boleśnie na samym Sikorskim. Taką wadą szkoły Sikorskiego była stała dążność do kokietowania czy kaptowania sobie swych wrogów, zaniedbywania za lub opuszczania własnych politycznych przyjaciół, nawet (czy zwłaszcza) wtedy, gdy z powodu niego byli w opałach. Taki był Sikorski w stosunku do najbliższych mu, jak Kot i Stroński, taki był i w stosunku do innych, podczas gdy zawsze był skory do jednania różnych Głuchowskich czy Grażyńskich. Metoda, jak wiemy, była krótkowzroczna. Wrogów nie zjednał, a jedynie umacniał ich pozycje, — rzucając opinii na pożarcie swych przyjaciół, musiał ich powoli tracić. Mikołajczyk, mimo tamtych doświadczeń, poszedł podobną drogą. Od początku objęcia swojego urzędowania był niezwykle układny w stosunku do naprawiaczy na przykład, to jest grupy byłego wojewody śląskiego Grażyńskiego, która stanowiła najsilniejszą mafię polityczną emigracji. W stosunku do współpracowników Sikorskiego, którzy robili z nim razem porozumienie z Rosją, szafował obficie dymisjami. Pierwsza taktyka nie miała mu rozbroić naprawiaczy, druga nie wzmocniła jego obozu.

Konferencja w Teheranie przyniosła niebawem plan okupacyjnego podziału Niemiec oraz pierwszy zarys postanowień alianckich co do ziem wschodnich. Odbyła się bez udziału Polski, co oczywiście nie było winą Mikołajczyka, ale posłużyła wrogom Sikorskiego do ataków na jego następcę. Następne miesiące przynosiły dalsze sukcesy sowieckie na froncie i nalegania angielskie u Mikołajczyka w sprawie stosunków z Rosją i rokowań odnośnie granic wschodnich. „Im wcześniej je rozpoczniecie, tym lepiej" — tłumaczył co-

*) Por. „Rzecz działa się we Francji..." w nr 44, „Bieg na przełaj" w nr 45, „Irański odmarsz" w nr 52 i „Katyń i Gibraltar" w nr 53 „Odrodzenia".

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

KOLĘDA

Przybieżeli do Warszawy trzej pasterze,
Chcą posłuchać, jak lud śpiewa tu pacierze.
A tu — cisza. W którąkolwiek pójdą stronę,
Wszystko milczy, wszystko smutne, krwią zbroczone

Milczą bruki, milczą domy, milczą drzewa,
Lud nie chodzi do kościoła i nie śpiewa,
Lud na modły nie ma czasu — lud zawodzi:
„Sami nasi, sami lepsi, sami młodzi!

„Wczoraj dwustu, dziś dwudziestu znów stracili,
„I z chodników zamarzniętych krwi nie zmyli,
„I zabrali ich, w jednakie strojnych szaty,
„A na śniegu — patrzcie! — w mróz wyrosły kwiaty"..

Pokręcili trzej pasterze tu głowami:
„Widać Jego tutaj nie ma wcale z wami,
„On nie widzi łez i krwi, płynącej wszędy —
„Nie będziemy dziś śpiewali Mu kolędy!"

Opuściwszy nisko czoła — powracali.
Żadna gwiazda nie świeciła już im w dali,
Smutne oczy im przesłonił włos ich płowy...
A w Warszawie, w noc — liczono nowe głowy.

Zima 1943.

raz dobitniej Churchill, — „Im więcej zgodzicie się oddać, tym mniej ziemi stracicie". Była to prawda, ale jednocześnie prasa emigracyjna, której Mikołajczyk nie docenił, której niczego przeciwstawić nie zdołał, wołała za Nowakowskim i Mackiewiczem: „Ani piędzi ziemi, żadnych rokowań, niech nam zabiorą nawet więcej, byle naszego współdziałania w tym nie było". Dwójka pospieszała ze swymi zawsze gotowymi argumentami i detalami, dowodzącymi, że Rosja już nie ma żołnierzy, względnie czołgów, względnie manganu czy kalodontu, i że już w połowie przyszłego tygodnia czeka ją nieuchronny zastój na froncie. A publika wierzyła. Każdy, co na to wszystko smutnie potrząsał głową, był zdrajcą. Patriotami rejtańskiej próby byli rzecz prosta ci, co wołali zawczasu: „Chcą nam wziąć Wilno? Tylko razem ze Lwowem i resztą! Czy tracimy Sarny czy pół Polski, to wszystko jedno". — Wobec tych nastrojów Mikołajczyk był rzeczywiście bezradny. Wóz polityki polskiej stał na miejscu.

Z wiosną 1944 roku Armia Czerwona weszła na teren Wołynia i Wileńszczyzny i odtąd parła naprzód. Jeśli w tym okresie kraj nie miał z mitycznego Londynu żadnych jasnych i wyraźnych dyrektyw, jeśli, brnąc w lasach, dowódcy partyzantki nie wiedzieli co robić i jaką taktykę stosować — to **dlatego właśnie**, że w Londynie ośrodki polskiej decyzji były unieruchomione. Niemało nas to kosztowało. Zerwanie porozumienia polsko-sowieckiego — rezultat katyńskich protestów — teraz w pełni pokazywało swą tragiczną niefortunność. Miało ją okazać — jeszcze tragiczniej — powstanie warszawskie. Nieomal w chwili jego wybuchu Mikołajczyk udał się samolotem w swą pierwszą podróż rosyjską. Angielscy przyjaciele Polski, ci naprawdę chcący jej dobra, sądzili, że z Moskwy odleci do Lublina, jak w innym czasie Benesz do Czech. Ale Mikołajczyk wrócił do Londynu. W parę miesięcy potem samolot z Mikołajczykiem lądował ponownie na lotnisku moskiewskim, i po nowych rozmowach miał odlecieć raz jeden więcej do Londynu.

W okresie tym Mikołajczyk przeżył jako człowiek straszliwe napięcie. Z jednej strony miał przeciwko sobie społeczeństwo polskie w Londynie, nastawione na pryncypialną nieprzejednaność, zacięte w niej i nieustępliwe. Z drugiej miał stale rosnący napór brytyjskiego premiera. W swych mowach parlamentarnych Winston Churchill nie szczędził Mikołajczykowi komplementów, ale w rozmowach poufnych ton jego posuwał się do brutalności prawdziwie bismarckowskiej. Brytyjski mąż stanu nalegał na natychmiastowe przyjęcie wszystkich propozycji moskiewskich, obiecywał odszkodowanie na Zachodzie po Nysę i Szczecin włącznie, a przemawiał do polskiego premiera tonem i stylem, który kiedyś jego biografom pozostawi wycinek życia bardzo trudny do przekazania potomności w sposób nie budzący sprzeciwu. To pewna, że te rozmowy, jeśli będą kiedyś opublikowane, pokażą światu, jak cierniowe było owo polskie premierowanie w Londynie. Nie przyniosą one, rzecz prosta, najmniejszej ujmy nieszczęsnemu następcy Sikorskiego, a nader wątpliwą chwałę jego angielskiemu rozmówcy.

W okresie tych rozmów dywizjony polskie miały przedłużone okresy swych lotów zrazu z 30 lotów na 50, potem na 30. Towarzyszyło to zarówno stanowisku brytyjskiemu w sprawach granic Polski, jak i licznym nominacjom wśród wyższego lotnictwa polskiego.

Po drugiej wizycie moskiewskiej Mikołajczyk wracał z gotowym i sformułowanym planem. Wróci na teren wyswobodzonej Polski jako premier, stworzy tam rząd, w którym jedną trzecią tek uzyskają Polacy z Londynu, jedną trzecią ruch podziemny w kraju, jedną trzecią Związek Patriotów. Traciliśmy Wilno i ziemie wschodnie, przy dużych nadziejach na utrzymanie Lwowa i zagłębia naftowego, jeśli plan będzie wkrótce przyjęty. Niebawem po oswobodzeniu Polski miały nastąpić wybory, a na zachodzie przewidziana była obszerna kompensata, obejmująca bodaj obecne granice. Mikołajczyk wniósł ten projekt na radę ministrów i — został przegłosowany. W następstwie wyniku tego głosowania udał się do Raczkiewicza i przedłożył prośbę o dymisję. Prośba została przyjęta.

W dosyć podobnej sytuacji znalazł się niezbyt dawno przedtem i w tym samym Londynie jugosłowiański premier Subasicz, który także otrzymał dymisję, po czym jednak w prasie angielskiej ukazał się komunikat, że rząd jego królewskiej mości będzie nadal uznawał rząd dr Subasicza jako legalny rząd jugosłowiański i — po pewnych targach — król Piotr cofnął udzieloną dymisję. W polskim wypadku do tego nie doszło i rząd Mikołajczyka odszedł bezpowrotnie. Szansa jakichkolwiek rokowań była w tej chwili pogrzebana. Prezydent Raczkiewicz, nareszcie uzyskawszy upragnioną od tak dawna pełnię działania, mianował nowy rząd z Tomaszem Arciszewskim na czele. Akt nominacji nosił datę 29 listopada i prasa polska w Londynie podniosła, że jest to pięknym i pokrzepiającym nawiązaniem do innego historycznego wydarzenia, związanego z taką właśnie datą. Zapomniała tylko dodać, że dzień 29 listopada, dzień Nocy Listopadowej, był nie tylko dniem powstańczego zrywu. Był także prologiem narodowej klęski.

Ksawery Pruszyński

WITOLD PIETRUSIEWICZ

Kostek

Pamięci Konstantego Jagielly nr 4507 — poświęcam

Gdzieś za drutami lato pachniało dojrzewającym zbożem. Nam codzień od Wisły przynosił wiatr zapach, ni to kwiatów, ni to miodu. A świat był zamknięty prostokątem drutów, ubezpieczony postami, psami, cekaemami. Wieczorem wszystko wyglądało jak w bajce. Zapalały się lampy na drutach, wieżyczki postów znikały w cieniu, zostawało tylko przeświadczenie, że czuwają, że są. Noce są jasne od gwiazd i z daleka gdzieś szczekają psy (nie trzeba myśleć, że to Hundestaffel), poza tym jest tak cicho, jak w letni wieczór na wsi. Bloki są ciemne i bezkształtne. Ale wystarczy tylko pomyśleć, że w każdym bloku męczy się we śnie 400 ludzi, czterysta indywidualności — i że sny ich są tak różne, a może śni się im wszystkim wolność

Ale nie można długo patrzeć na gwiazdy, przypominają się różne głupie i sentymentalne sprawy — po co? Lepiej pchnąć drzwi bloku i lepiej mieć tę pewność, że na 6-ej buksie pali się jeszcze żarówka (też sabotaż — za dużo punktów świetlnych na bloku — musimy oszczędzać), że stoi sławny baniaczek ze znakomitym coctailem wyrobu Zenka (litr spirytusu i 2 łyżeczki lagrowej kawy). Wiem też dobrze, jak mnie przywitają: „Nareszcie, bandyto! Skończyłeś ten swój cholerny verpflegung"! A ja pewno powiem tak: „Powinniście mnie całować po rękach, chamy, bo jakby nie było verpflegungu, to co byście jedli jutro! Ale wy, brudna bando, nigdy nie potraficie ocenić mojego poświęcenia"! Taka jest nasza zwykła ceremonia powitalna, takie nasze czułości!

Kostek siedzi na buksie po indyjsku, w swojej znakomitej, czarnej jedwabnej koszuli, która ma tę zaletę, że można ją prać raz na pół roku, a mimo to nie zmienia barwy. Ale wy nie znacie Kostuni Nie wiecie, że jest mały, ma kwadratową twarz, pochyloną głowę i piwne oczy. Stale się śpieszy, zawsze ma tysiące interesów, szczególnie na Flu, stąd też ubiera się niezwykle elegancko. Ustawicznie przy tym się śmieje i zawsze zdąży jeszcze zrobić tysiąc kawałów blockführerom i innym szemranym podwładnym — jak ich nazywa.

Wdrapuję się na buksę i pokrzepiwszy się kawałkiem kiełbasy, tudzież wychyliwszy na zagładę kierownika wydziału politycznego zacnego Bogerra kieliszek coctailu, przystępujemy do narady. Więc Kostek uśmiecha się ciągle, ale już inaczej, w oczach coś mu błyska zielonkawo i złoto. Słowa mówione szeptem padają jak stukot telegrafu w uśpiony blok. W myśl zasady: nieprzyjaciel podsłuchuje — mówimy szeptem. Szpicli nigdzie nie brak.

„Zen, co z glukozą? Basia musi ją jutro dostać, to będzie już trzeci zastrzyk. Zdobyłem tonalbinę dla Jadzi i cukier dla Marysi. Antoś zawiezie jutro rolwagą bieliznę na BII b, bo tam nie mają w czym chodzić. Wali trzeba powiedzieć, żeby przygotowała nowy transport klamotów na g. Ja idę jutro na Auschwitz, muszę im zanieść trochę kamyków i twarde, bo jutro 15-tego, więc będą chcieli wysłać za druty! Wit! potrzebuję odpisu ostatniej listy transportowej na gaz, te 3 tysiące Czechów"

Równie szybko i zdecydowanie padają odpowiedzi. Nie ma czasu. Czasem zastanawiałem się, że nikt nie wybierał Kostka na naszego dowódcę. Nie, na pewno nie, są wśród nas starsi, może od niego mądrzejsi, ale Kostek jest Kostek i już. Wszystko omówione. Jest 11.30, za chwilę spadnie na buksę grad konserw, mleka skondensowanego, chleba, kiełbasy, kostek margaryny, mięsa. To Zbyszek skończył niańczyć pijanego lagerführera i przychodzi do nas. Kostek obudzi Antosia i we dwóch porozdzielają wszystko. I już Antoś wie, komu ile trzeba dać jutro. A teraz prosimy wszyscy, prosimy Kostka, żeby nam przeczytał swój ostatni wiersz. Nie chce, więc zabieramy mu siłą, będzie czytał Michał. I nagle robi się całkiem cicho, przepadła gdzieś loża cyników. Wiersz Kostka szumi trzciną na stawie, pachnie kwiatami na łące, straszy ciemnym lasem. Michał skończył i jeden po drugim zsuwamy się z buksy z krótkim dobranoc. Nigdy nie możemy nic mówić po wierszach Kostka. Każdy woli myśleć nad tym u siebie na pryczy. My czujemy jego wiersze. Za dobrze nauczyli nas tu cenić wolność.

Zasypiam i uśmiecham się na myśl, że jutro obudzę się nagle przerażony z okrzykiem: „Co jest"? A uśmiechnięty Kostuś powie mi: „Nic — chciałem ci tylko powiedzieć dzień dobry". A żeby cię cholera! Przewracam się na drugi bok i wiem, że za 5 minut historia się powtórzy. Ubieram się. Słyszę orkiestrę — komanda rukują. Chwilę myślę — ilu ludzi dziś przyniosą. A potem skok myślowy i uśmiech — idą dachdeckerzy: więc najmłodszy i najprzystojniejszy kapo wielkiej postenkiety Tomek i sztandarowa piątka Zenek, Kostek, Dawid, Antoś i Malinka. I 40-tu innych długo wyszukiwanych przez Kostka, który jest duszą komanda. Same równe chłopaki. Śmiech mnie zbiera i myślę sobie: panie lagerführerze, szanowni panowie rapportführerzy dostojni, czy panowie wiedzą, co idzie z tym komandem za druty? Ile kostek margaryny, ile kompletów bielizny, ile dolarów twardych? A czy panowie wiedzą o tym, że u Kostka w bucie ukryta jest lista, ostatnia lista, 3 tysiące SB, których to pan w dniu wczorajszym osobiście palił, panie lagerführerze?

Nie wygracie z nami panowie! I czy wiecie o tym, że wbrew pięknemu hasłu „Arbeit macht frei" żaden z tych 46 panów palcem nawet nie kiwnie przez 12 godzin arbeitszeitu. Ani jednej rolki papy nie przybije dla dobra Wielkiej Rzeszy Niemieckiej i przez cały dzień wcale nie będzie myślał nad wielką zbrodnią jaką ośmielił się popełnić wobec narodu niemieckiego.

Więc za bramą zaraz Zenek na Fl. Za chwilę już wtyka w ręce oszołomionej lekarki wszystkie możliwe lekarstwa i specyfiki, każde lekarstwo to czyjeś życie, tak już tu jest. Przed jednym z bloków szczęśliwa blokowa wyładowuje przy pomocy Antosia z rolwagi, spod rolek papy, komplety damskiej bielizny. A w tym samym czasie sam pan kapo na kwarantannie rozdziela zapasy żywności pomiędzy wychudzonych do niemożliwości muzułmanów. Dzięki czemu sprawiają oni, zawód komendanturze i — wbrew zapewnieniom lagerarzta — żyją już 3 miesiące. A mały niepozorny Kostuś jest już w tym czasie w Auschwitzu I, gdzie przekazuje dolary i kamienie, za które będzie można na wolności kupić broń i amunicję, wydawać pisma, przeprowadzać tysiące rzeczy na zgubę Niemcom.

24. 8. 44. Moje imieniny, drugie w lagrze. Budzę się i leniwie myślę, że jeśli dostanę dzisiaj paczkę, to wyprawiam ucztę imieninową. Poruszam się i nagle spadam z górnej pryczy i ląduję na podłodze betonowej z wielkim hukiem. W czasie tego osobliwego lotu myślę spokojnie: „No tak, wyjęli dranie deski z łóżka, bo musieli przecież czymś dać znać, że wiedzą o moich imieninach". Odwracam głowę i widzę, że Kostek tarza się ze śmiechu na sąsiednim łóżku. Obrażony mówię: „Czego się, małpo, śmiejesz? Pomóż mi się wygrzebać z tej sterty desek i kanadyjek, czyli z byłego mojego łoża!" Pomaga mi i śmiejemy się teraz obaj. Potem Kostek poważnieje i życzy mi, żeby następne imieniny były już w Polsce i nagle całuje mnie mocno, mocno. Trochę zdziwiony oddaję mu pocałunek i nagle słyszę szept: „Servus stary, dziś idę z Tomkiem i bardzo cię przepraszam, że nie będę na wspaniałej uczcie imieninowej". I poszedł. Aha, co to jeszcze powiedział: „Za dwa tygodnie kontakt przez Walę na Brzeszcze".

Jasny słoneczny dzień, a ja włóczę się po lagrze z miną jakbym kogoś przed chwilą pochował. I bez sensu i ciągle w kółko: „żeby im się udało, żeby im się udało". Zbliża się 15-ta. Półprzytomny robię apel, cudem się zgadza i czekam, czekam na syrenę. I nagle jest. Koledzy podnoszą głowy i słyszę głosy: „poszedł". Nie mogę im powiedzieć, że wiem, kto poszedł tym razem, wiem. Po syrenie chwila ulgi i widzę przed sobą zdenerwowany wściekły pysk rapportführera: zaraz dawać te dwie karty. Wiem, wiem, panie rapportführerze, 4507 i 14152, jawohl der kleine, jawohl Herr Oberscharführer, der junge schöne Capo auch, beide vom Dachdeckerkommando. A więc jednak poszli.

Ciągle łapię się na tym, że myślę o Kostku. Nic się nie klei, już nie schodzimy się więcej na buksie, brak Kostka, który nas wszystkich łączył. Lepiej patrzeć jak spadają sierpniowe gwiazdy niż iść do bloku, nad 6-tą buksą jest ciemno. I nagle żarówka się zapala, jest kartka od niego. Wszystko w porządku, robi robotę w Brzeszczach tak jak powiedział na odchodnym, a potem szereg telegraficznych skrótów, przesłać forsę tu i tu, wiadomości o nastrojach w lagrze wśród SS-manów i häftlingów, listy transportowe, listy na gaz, rozwałki, wszystko jak dawnej. I robota znów idzie, znów zebrania na buksie. 24 km od nas jest Kostek. Potem szereg ucieczek udanych z lagru. Rozgłośnie całego świata nadają nazwiska, długie szeregi nazwisk zagazowanych w obozie koncentracyjnym Auschwitz II. Najtajniejsze sprawy wychodzą poza druty. Władze nasze ogarnia lęk. SS-mani powtarzają między sobą imię Kostka, przypominają sobie jak wyglądał. Komendantura obawia się odbicia obozu, postanawia wysłać wszystkich Polaków do innych lagrów, położonych w głębi Rzeszy.

I wreszcie pewien jesienny dzień. Przychodzi do mnie Wala, ciężko siada na krześle i płacze. Dziwię się, bardzo się dziwię. Ta słoneczna, zawsze uśmiechnięta Wala. Ta, która, gdy jej zwierzchnik z cynicznym uśmiechem powiedział o rozwałce męża, śmiała się prosto w jego bezczelny pysk. A teraz płacze. Wreszcie słyszę jeden wyraz: Kostek... Robi mi się miękko w kolanach i coś ściska mnie za gardło. Ale jeszcze nie wierzę i nareszcie to zdanie. Kostek nie żyje. A potem potok bezładnych słów: Odbijali kopalnię Brzeszcze, przyszła trupa z Au. I dużo, broń maszynowa.. Kostka zranili... nasi się wycofali... nie mogli go zabrać. Chcieli go wziąć żywcem... wystrzelił wszystkie magazyny a potem sobie w łeb.

Wala dawno już poszła, a ja siedzę przy swoim stole i uśmiecham się do Kostka, zdaje mi się, że siedzi razem ze mną, tylko w oczach ma bardzo ciemne, złote błyski. Wieczorem na buksie pali się lampka, nie gadamy nic, bo i co mówić. I nagle Zenek, ten nie wierzący w nic poza Kostkiem, w tym miejscu, gdzie tyle milionów ludzi modliło się do Boga bezskutecznie, zaczyna mówić „Wieczne odpoczywanie..." i my wszyscy za nim.

Nie ma grobu Kostka, zwłoki jego spalili w krematorium, tak, jak na häftlinga przystało. Popiół zaniósł wiatr do Wisły, o której tak lubił mówić i pisać. Ale my nie zapomnimy o nim, wszystkie małe i duże psy z wielkiej postenkiety będą pamiętały o swym przewodniku, który kochał ludzi, wierzył w nich i chciał stworzyć im inne warunki bytowania.

Witold Pietrusiewicz
Nr. 125750

ROMAN BRATNY

PIEŚŃ

K. rolowi Topornickiemu poległemu w wysadzonym domu przy ulicy Przejazd 3
Oślepłe recytatorce z obozu jeńców w Gross-Lugars
Nieznanej żonie kolegi, której urwało dłonie

Na dłoni linia drobna znaczy
tę samą śmierć, co góra ruin
tamtego domu, w którym leżysz
— łza opuszczona przez powiekę
człowiek przez życie opuszczony
nikną tak samo. Niby gest,
gdy człowiek oczy swe przeciera,
tak kwiat wyrasta z krwawej ziemi.
Człowiek przemija jak jaskółki
lot poprzez niebo wiecznie jasne,
lub jak kamienia drobny cios
o wodę wielką — krąg przelotny —
o ileż mniejszy będzie jeszcze
kiedy uderzy jedna łza
o wielkie życie wody — żaden.

Jak kiedy łza opuści oczy,
albo gdy człowiek kraj ojczysty,
nie poznasz tego w szumie brzozy,
ani nie poznasz w oka błysku.

Tak i z człowiekiem, gdy umiera.
Już nie ma Ciebie — jaki świat!
w nim oczu tłok i dłoni jarmark

Znam siostry Twoje dwie w cierpieniu
lepiej Cię widzi ociemniała,
u której leżysz w oczu grobach,
bliżej Cię ujmie Twoja siostra
w ręce, u których dłoni nie ma,
niż ja, którego los wygonił
w ciało cierpieniom Twoim obce,
w którym się błąkam niby w lesie
pełnym łapczywych zwierząt krzyku.

Na ciemnych łąkach przyszłych nocy
obce mi rosną dłonie moje.
I w obcych dniach dla moich oczu
ciągną się łąki ciał i zdarzeń —
Lecz w tłumie spojrzeń błądzi wciąż
cień Twoich oczu, brwi Twych lot —
wstrzymany niby gest zdumienia
ponad przepaścią Twoich oczu —

I pośród ruchów tłoku błądzi
gdzieś Twoja dłoń jak wiatru zapach,
nawet nie cień jej, bowiem słońca
blask pada prosto poprzez miejsce,
gdzie dłoń Twa była i pod stopy
kładzie Ci blask swój. Czy pamiętasz
jak siostrze zasłaniałaś oczy
dłońmi obiema, że w ciemności
zgubiona śmiechem swym szukała
czyje to ręce sprzed jej oczu
zabrały słońca cichy lot?
Tak, los to sprawił. Gdzie też jest
Twój srebrny śmiech — może ta ciemność
to dłonie siostry Twej — bo czas
może już wstrzymał dziki bieg
i trwa ten sen wplątany w śnieg
srebrnego śmiechu.
I kiedy piszę w światła kręgu
zamknięty w izbie, w której żyje
gromada jeńców — to sam jestem
dla siebie obcy, niczym izba,
tak pełny twarzy i postaci.
Drży teraz ostro skóra świateł
i człowiek ciasno w niej zamknięty
— a górą stali stada sine
ciągną przez noc — naloty ciągną!
Gęstnieje krzyk, choć ludzi mniej.
Podnoszę głowę, jak Ty głos,
gdy jęcząc dłonie Twe żegnałaś.

Gęstnieje krzyk, a w kręgu światła
przymrużam oczy — gorzki wstyd,
gdy w nocy piszę o oślepłej
i dłoń mi drży, gdy o kalekiej.

Barwy mnie toczą, jak robactwo
spróchniały pień — a ciemność woła!
— a ciemność woła, ciemność wie.

Zadrży mi ręka, gdy cyganka
popatrzy w linie jej, bo Ty
nie masz już rąk — jak góra ruin
ta drobna kreska śmierć oznacza —
ach, tak daleką, jak dziś Ty...

TADEUSZ PEIPER

Hitleriana

Ilekroć przyjeżdżałem do Niemiec, za każdym razem już na peronach pierwszych dworców kolejowych uderzał mnie konfekcyjny ubiór inteligentów. W innych krajach fabryczna konfekcja też przechodzi w szerokie kręgi ludności, nie powoduje jednak tych następstw psychicznych co w Niemczech. W kraju, którego ludność wychowywał duch Hohenzollernów, konfekcyjny ubiór konfekcjonizuje sposób noszenia go, konfekcjonizuje nawet sposób w jaki człowiek nosi samego siebie.

Konfekcjonizację wnosi w głąb służalcze naśladownictwo. W granicach miesięcznych poborów kancelista upodabnia się do podsekretarza, podsekretarz do sekretarza, sekretarz do nadsekretarza, nadsekretarz do podkierownika, podkierownik do kierownika, kierownik do nadkierownika, a nadkierownik do geheimrata. Hierarchicznie niższy naśladuje przełożonego, aby przejąć jego cnoty, pochwały i pobory. Tak odbywa się konfekcjonizacja niemieckich dusz.

Sprzyja jej niemieckie posłuszeństwo. Inne narody przyjmują na siebie posłuch wobec słów obsługujących czczone idee. Niemcom posłuch reguluje życie. Inne narody odnoszą się do rozkazu jak do postanowienia dwustronnej umowy, Niemcom umawianie się nie jest potrzebne. Inne narody przyjmują na siebie posłuchy, Niemcy mają w sobie posłuszeństwo.

Poucza o tym już choćby ulica. W Berlinie regulują ruch uliczny kolorowe światła lamp elektrycznych, zmieniające się co kilka minut automatycznie. Gdy nad ulicą zaświeci światło czerwone, oznaczające zakaz przejścia przez jezdnię, wszyscy zatrzymują się posłusznie, ale zatrzymują się nawet wtedy, kiedy jezdnia, którą mają przebyć, jest całkowicie wolna, kiedy długie i linijnie proste ulice miasta pozwalają dwoma spojrzeniami ujrzeć sytuację i stwierdzić, że ani w prawej ani w lewej dali nie ma żadnego auta ani w ogóle żadnego pojazdu. Racja, z której wynikło owo czerwone światło, całkowicie odpadła, czerwone światło zapłonęło tylko jako kolejne następstwo działań automatu, ale zapłonęło, odezwało się zakazem przejścia, i nikt nie przechodzi. „Es ist verboten". Wystarcza. Na skrzyżowaniu ulicznym nie ma policjanta, przechodzień który przejdzie przez pustą jezdnię nie będzie przez nikogo pociągnięty do odpowiedzialności, ale „es ist verboten" i nikt nie przechodzi. To jest posłuszeństwo. Zakaz działa, choć nie uzasadnia go sytuacja, a podtrzymuje tylko automat.

Na łatwości, z jaką Niemiec poddaje się konfekcyjnym działaniom, na jego gotowości do posłuszeństwa, na tym budował Hitler. Na tym, co w Niemcach jest z niewolników, a nie z panów, na tym budował Hitler.

Dla większości Niemców był początkowo obcy. Nie otrzymał władzy z woli ludu. Nie wyszedł ani z większości głosów ani ze zwycięstwa w boju ulicznym. Wyszedł z oszustwa. Otrzymał władzę jak podarek; otrzymał ją — poprzez Hindenburga — od junkrów fabryki i junkrów folwarku, którym był potrzebny. Że, otrzymawszy ją, ujrzał w sobie Napoleona, to było obojętne dla ludzi, którzy działali za jego plecyma. Taki właśnie Napoleonek, taki właśnie Napoleoś był im potrzebny. Gdyby do zagrania roli lwa nie byli znaleźli osła, byliby do niej zaangażowali choćby szczura. Napoleoś, który nie umiał zdobyć własnego kraju, miał dla nich zdobyć Europę i świat.

Początkowo miał przeciwko sobie większość, która, choć nie umiała być rozstrzygającą, nie przestawała być wyraźną. Z ulic Berlina zniknęła wesołość. Można było chodzić po mieście godzinami i nie usłyszeć śmiechu, nie zobaczyć uśmiechu. Wszystkie bez wyjątku twarze — zastygłe, zlodowaciałe. Oczy mijały się bez żadnego zainteresowania dla siebie. Dzieci na skwerach i ogrodach wyzbyły się dawnych zabaw i używały świeżego powietrza jak starzy emeryci. Cudzoziemcy stroniąc od hitlerowskiej stolicy sprowadzili na nią utratę różnonarodowych plam i blasków, i jeśli już który przyjechał, stawał się dla jej mieszkańców topielą wspomnień o lepszych czasach, które minęły. W moim hotelu pokojówka poszukała okazji do rzewnej rozmowy poprzez... samorzutne i troskliwe wyprasowanie mi krawata. **„Teraz inne czasy"** — wdmuchnęła w rozmowę i zamilkła. **„O ile inne"?** — zapytałem bez akcentów ważności. **„Teraz wszędzie polityka".** Nie pytałem dalej, zrozumiałem ją. Nie chodziło jej o politykę w ogóle, ale o tę, która w tym właśnie czasie obowiązywała w jej kraju. Z bardziej dramatycznym, bo niemym wyrazem wspomnień zetknąłem się na Unter den Linden. Kierowca ciężarówki, typowy robociarz berliński, zatrzymał wóz u trotuaru, którym szedłem, zatrzymał go przede mną, zatrzymał bez żadnego innego powodu jak tylko po to, aby patrzeć na mnie. Jakieś zadowolenie z widoku człowieka nie-niemieckiego, jakaś na kilka chwil zrealizowana tęsknota za czasem, który minął, może nawet jakaś niema demonstracja.

Byłem w Berlinie w czasie, kiedy nadeszła wiadomość o zabiciu w Paryżu radcy niemieckiej ambasady. Zabójcą był kilkunastoletni Żyd z Polski. Nazistowskie oddziały szturmowe wypadły na miasto i zdemolowały sklepy żydowskie. Zdemolowały także olbrzymi warenhaus Izraelsa, choć jego właściciel był obywatelem angielskim. Wróciwszy do hotelu z biblioteki, gdzie pracując nad książką o Kolumbie wczytywałem się w przepojone humanizmem dzieło hiszpańskiego biskupa Las Casasa, dowiedziałem się o wypadkach. Dowiedziałem się o nich od liftboya, który wiózł mnie na moje piętro. Z niesmakiem w twarzy młodzieniec zakończył: **„Pięknie nasze Niemcy wyglądają!"**

Postanowiłem wyjść na miasto, choć było to połączone z niejakim ryzykiem osobistym. Po prostu z obowiązku Europejczyka pragnąłem poznać ogólne nastroje berlińczyków, a w Niemczech właśnie pod żydowskimi sklepami można było dostrzec w powiększonej postaci to, co mniej wyraziście przebiegało całą ziemią niemiecką. Poszedłem. Pod rozbitymi oknami wystawowymi dwóch czy trzech widzów. Przypatrują się chwilę, odchodzą. Ani jednego słowa aprobaty dla wyczynu szturmowców, ani jednego słowa zadowolenia. Raz ktoś wysunął rękę, aby z bezszybnej wystawy wziąć jakiś drobiazg, lecz natychmiast zażądano od niego odłożenia rzeczy na dawne miejsce.

Jest już noc. Pod olbrzymim warenhausem Izraelsa trotuary przepełnione. Tłumy przechodzą w jednym i drugim kierunku, wpatrują się w gmach zdemolowany i ciemny. Z tłumów tych nie padł w ciągu całego czasu ani jeden głos zgody na to, co się stało, ba, w ogóle nie padło ani jedno słowo. Milczenie, żałobne milczenie. Tłum przeciągał obok ciemnego gmachu, jak obok katafalku, na którym leży umarły.

Nie, milczenie nie dobiegło do końca zupełnym. Nagle na pustej jezdni rozległ się głos, i donośny. Spór? Nie. Krzyk protestu? Nie. Pieśń buntu? Nie. Bełkot pijaczy! Na pustą jezdnię wypadł człowiek pijany. Robotnik. Bełkotał, wymachiwał ramionami, z namiętną złością walił nimi w powietrze jak gdyby bił kogoś, kogo nie ma. Wyrażał niezgodę, choć tak, że jej adres był nieczytelny.

A przez opustoszałą Friedrichstrasse szedł inny pijak. Inteligent. Dobrze ubrany. Jezdnią szedł. Krok chwiejny, głowa opuszczona. Bąkał coś pod nosem jakby w rozmowie ze samym sobą. Cały sposób trzymania się, cały ruch postaci i cała twarz czyniły z niego pijaka osobliwego. Takiego nie widziałem dotąd nigdy. Naszła mnie myśl, że zapijał sprzeniewierzenie się samemu sobie, że zapijał poddanie się nowemu reżimowi, i że chciał, aby go widziano pijanym, że chciał, aby rozumiano, że jest pijany ideologicznie, że gdy nie może mówić inaczej, mówi tak.

A jednak w owym czasie dawni przeciwnicy Hitlera porobili już niemało ustępstw na jego rzecz. Robili je powoli, stopniowo. Zaczęli od ustępstw, które uważali za nieistotne. W mowach hitlerowców było wiele frazesów, chytrze podrabiających hasła partyj socjalistycznych, czyż więc — rozgrzeszali się mniej hartowni socjaliści — jest co nieodwołalnego w oklaskiwaniu owych frazesów? Berlin, Sportpalast, mityng, dziesięć tysięcy ludzi. Na ławach amfiteatru polscy turyści, pierwsza wycieczkowa grupa Polaków w hitlerowskim Berlinie. Zorganizował wycieczkę krakowski Orbis. Rok 1934, niedługo po zawarciu paktu o nieagresji. Wśród polskich turystów i ja. Na estradzie Goebbels. Mówi o funkcji literatury w związku z obchodzonym właśnie „tygodniem książki". Gdy wyznaje, że Trzecia Rzesza cierpliwie musi czekać na swego Szekspira, daje do zrozumienia, że nie ceni dzieci muz hitlerowskich. W opinii berlińczyków był Goebbels lepszą głową niż Hitler, oczywiście aż do wydostania się gorszej głowy na wyższe miejsce, toteż sprytnie uchylił się od wielbienia pisarzy, którzy za chwilę mieli odczytywać swe nędzne utwory. Ale najciekawszymi momentami mityngu były nie słowa arcykapłana propagandy i oczywiście nie słowa pięściarzy pióra. Inne głosy. Oklaski! Najhuczniejsze i najdłuższe przypadały na te części mowy Goebbelsa, w których pojawiały się falsyfikaty myślowe mające pozyskiwać niepozyskanych — podrabianiem idej innych kierunków politycznych. Odnosiło się wrażenie, że najsilniejsze huragany oklasków tworzyły ręce przeciwników, którzy w nieistotnych dla hitleryzmu miejscach przyłączali się do zwolenników. Był rok 1934, upłynęło zaledwie kilkanaście miesięcy od wprowadzenia nowego reżymu i liczni jego przeciwnicy nie zdołali dotąd oderwać się od poglądów, które wyznawali w czasach kiedy Hitler był jeszcze tylko chimerą przykucającą na krawędziach pałacu kanclerskiego. Oklaskiwali oni teraz tylko cząstki przemówienia, cząsteczki, te cząsteczki, które były zgodne z poglądami wyznawanymi przez nich od dawna. Reszcie przemówienia odmawiali swych dłoni. Różne stopnie oklasków ujawniały sposób, w jaki przeciwnicy hitleryzmu zbliżali się do niego, nie przestając jeszcze być przeciwnikami. Oklask powstawał u nich na razie z machnięcia ręką. Na razie. Za sześć miesięcy będą tak oklaskiwali jakąś obcą im dawniej cząsteczkę, a przyjdzie czas, że dla całych mów będą wywodzili oklaski z dłoni rozgrzanych zachwytem.

Były inne rodzaje zbliżania się. Na przykład przyjmowanie jakiejś nieuznawanej nawet części programu, z zastrzeżeniem, że przyjmuje się cząstkę, aby nie musieć przyjąć całości. Ambasador Rzeszy w Warszawie, Herr von Moltke, nie był podobno zwolennikiem wszystkich awanturniczych planów Hitlera. W stosunku do Polski „zadowoliłby się" żądaniem granic sprzed pierwszej wojny światowej, a więc żądaniem „zwrotu" Pomorza, Poznańskiego, Śląska. Chciał nawet pozostawić Polsce Gdynię z uzasadnieniem, że jest to własny jej twór, i niewątpliwie z nadzieją, że taka Gdynia, taki izolowany punkcik terytorialny, byłaby główką szpilki bez szpilki. Nie uznawał też Herr von Moltke hitlerowskiego antysemityzmu. A jednak wygłaszając w gmachu warszawskiej ambasady jakieś uroczyste przemówienie, napomknął, że kwestia żydowska wymaga nowego rozwiązania. Ledwie skończył przemówienie, jeden z niemieckich Żydów, obecny na przyjęciu, wyszedł ze sali. Już ubrany stoi w garderobie i gotuje się do wyjścia, gdy łapie go za rękę ambasador: **„Nie ucieknie mi pan. Wiem, o co panu chodzi. Mnie jest to równie przykre, jak panu. Ale, jeśli nie uczynię minimum, będę musiał uczynić maksimum".** Tak zaczynało drogę do hitleryzmu wielu Niemców, bardzo wielu. Zaczynało się od ustępstwa minimalnego, z biegiem czasu dań ustępstw rosła.

Naród niemiecki coraz szerzej poddawał się Hitlerowi. Wsie i małe miasta szybciej podchodziły ku niemu niż Berlin. Mówiono, że chłopów pozyskiwał sobie ulgami jakie wnosił w ich zadłużenie, a ludność miejską rozładowywaniem bezrobocia, rozładowywaniem, o którym nie wszyscy wiedzieli, że odbywa się poprzez nastawianie całej gospodarki na produkcję wojenną. Pewien obywatel polski, zajmujący się w Berlinie administracją mienia swych ziomków, mówił o nowej sytuacji: wprawdzie zarobki są niższe niż były przed Hitlerem, ale zarabia każdy, bo każdy pracuje.

Równocześnie działali hitlerowcy sugestią stosowaną masowo. Pod niebem niemieckim rozpostarli drugie niebo, utkane z wiary, że do nich należą przyszłe stulecia. Mityngi zamieniali w spektakle siły, ustawiali trybuny jak konstrukcje teatralne i zapełniali je statystami według obmyślonego z góry planu reżyserskiego, masę mityngową spędzaną w dziesiątkach tysięcy układali jak glinę w geometryczne formy, nad placem mityngowym rozkrzykiwali władztwo emblematów partyjnych płótnami olbrzymimi w rozmiarach i liczbie, a w całe to kunsztowne widowisko wprowadzali zorganizowanymi dopływami nazistowskie uniformy, uniformy, uniformy. Ile było kruchości w głoszonych ideach, tyle było pompy w ich głoszeniu. Takimi sugestiami opornych opanowywali, pokornych zniewolniczali.

Młodzież zdobywali zhitleryzowaną szkołą. I zhitleryzowanymi marszami. W brunatnych uniformach, które w czas ciężkiego kryzysu gospodarczego rozdawali dzieciom za darmo, pakowali na ciała i dusze nawyki wojenne. Marszami, które rytmizują nogi, rytmizowali także myśli. Długie bębny pędziły w nogi, w głowy i w brzuchy rytmy i dźwięki nieznanej gdzie indziej dzikości. Gdy jeden z takich marszowych pochodów obserwowałem z hotelowego holu, podszedł do mnie hotelarz, zniemczony Polak z Poznania, i szepnął kilka słów o ogłupianiu młodzieży. Było to w roku 1936. Ale gdy przyjechałem dwa lata później, w jego hotelu nie było już dla mnie miejsca. W tym to czasie pewien socjalny demokrata, były członek berlińskiej rady miejskiej, zwierzył mi się, że jego syn uległ całkowicie hitlerowskiej szkole.

Ale jak mógł Hitler ogłupić Niemców kulturalnych? Było to nieraz dręczącą zagadką dla kulturalnych cudzoziemców. Nie ulega wątpliwości, że w niemieckim idearium już przed hitleryzmem uganiało niejedno myślisko o szeroko otwartej paszczy i sztandarowo powiewnym ogonie. Niejednej z dawnych niemieckich syntez historycznych, niejednej z dawnych formuł zamykających niemiecką mądrość o wojnie i polityce zawdzięczał Hitler zaprzęg, który go podwoził do niemieckich intelektów. Myśliską, które zrodziły się dawno przed nim, ciągnęły jego religię podboju. I u przeciwników miękł powoli opór, gdy wpajał w swych obywateli przekonanie, że podbój jest w wieku XX tak samo zgodny z człowiekiem, jak był z nim zgodny w czasach dzikości. Miękł opór nawet wtedy, gdy podbojowej myśli pozwalał nie widzieć zasadniczej różnicy między różnymi epokami dziejów, gdy maczuga epoki kamiennej zgniatał rozdziały historii w taką cienkość, że z mnóstwa ich kartek powstała cieniutka warstewka, powstała właściwie jedna tylko kartka, kilku zdaniami wyjąca o ludach, które tępiły się wzajemnie, aby zająć miejsce opróżnione przez wytępionych.

Nieraz powoływali się hitleryści na Nietzschego, jako na swego prekursora. I był dla nich prekursorem, gdy całość życia uważał za przejaw woli dążącej do potęgi, gdy psychologię i etykę pojmował jako naukę o tej właśnie woli, i gdy pysznił się, że nikt przed nim nie musnął nawet tych zasadniczych — według niego — związków życiowych. **Był** dla hitlerystów prekursorem, gdy twierdził, że wola potęgi nie działa z jednakową siłą u różnych jednostek i różnych narodów, gdy wyprowadzał stąd teorię o ludziach-panach i ludziach-niewolnikach, o rasie panów i rasie niewolników, teorię, o której już dawno w Niemczech powiedziano, że będzie z nią związane na zawsze jego nazwisko. Ale był Nietzsche dla hitlerystów prekursorem także wtedy, gdy o ludziach przeznaczonych do panowania nad innymi mówił, że są to **„radujące się potwory, dla których seria mordów, pożarów, hańbień, tortur jest czymś, co wykonuje się z taką pyszałkowatością i z taką duchową równowagą, jakby robiło się studencki żart".** Był dla hitlerystów prekursorem, gdy twierdził: **„Widzieć cierpienie, to przyjemność; zadawać cierpienie, to jeszcze większa przyjemność — oto twarda zasada, ale stara, potężna, ludzka, nazbyt ludzka... Bez okrucieństwa nie ma radości — tak uczy najstarsza, najdłuższa historia człowieka".** Był dla hitlerystów prekursorem, gdy wyznawał: **„Nas ...charakteryzuje okrucieństwo. Wiwisekcja jest próbą; kto jej nie wytrzyma, nie należy do nas".** Był dla hitlerystów prekursorem, gdy wielbionym przez siebie okrutnikom przyznawał prawo do etyki dosłownie zoologicznej, jak to uczynił choćby w dyrektywie, że: **„Tam, gdzie zaczyna się obczyzna, są oni rozkiełznanymi zwierzętami".**

W powoływaniu się na Nietzschego nie przeszkadzało hitlerystom, że — gdy mówi on o rasie panów — wcale nie ma na myśli swych rodaków. Na nich patrzy z lekceważeniem, czasem z trwogą. Ciepłymi pochwałami obdarza Francuzów, Polaków, Rosjan, nigdy Niemców. Już sam język niemiecki wydaje mu się tworem niższego gatunku, i dopatruje się w nim przyczyny niższości niemieckiego stylu w ogóle, przy czym nie czyni wyjątku nawet dla prozy Goethego. Rasa panów, którą wielbi, nie odnosi się do żadnego narodu, obejmuje typ ludzki niezależny od przynależności narodowych. Z gniewem mówi o szale nacjonalistycznym, który wprowadził między narody chorobliwą obcość, z gniewem mówi o politykach „szybkiej ręki", którzy dzięki temu szałowi wznoszą się w górę. Ale hitleryści nie uwzględniają antynacjonalistycznych i antyniemieckich myśli swego mędrca, i wszystko, co mówi on o rasie panów, wypisują fałszersko na „ma" narodu niemieckiego, załapując to dla celów niemieckiego podboju.

Z ust Aloisa Riehla, profesora filozofii na uniwersytecie berlińskim, słyszałem, że Wiliam James, filozof amerykański, twórca pragmatyzmu, wyznał mu, iż pierwszą inspiracją jego idei pragmatystycznych były dzieła Nietzschego. Hitleryści uzupełniali nietzscheanizm pragmatyzmem. Bardzo była im na rękę, dosłownie na rękę, ta filozofia, która praktycznym korzyściom oddaje decydujący głos o prawdziwości i nieprawdziwości idej, filozofia, która zachęca do stawiania sobie pytania, co zmieniłoby się w świecie, gdyby idea, którą odrzucamy, była prawdziwa, filozofia, która pozwala Jamesowi głosić, że pragmatysta zwraca się ku działaniu, ku **władzy**, że świat stoi przed człowiekiem giętki, plastyczny, że czeka na dotyk jego rąk i znosi chętnie jego **gwałt.** Myśli te eksploatowali hitleryści wcale nie w duchu intencyj autora. Ordynarnie, grubiańsko, przenosili je w dziedzinę gwałtów militarnych, mających dać im władzę nad owym materiałem giętkim i plastycznym, jakiego ich nieprzenikliwe oczy dopatrywały się w masie narodowej innych krajów. W ich wywodach propagandowych jamesowski świat jako skutek wiedzy, przeistoczył się w świat jako przestrzeń, w świat jako sumę ziem, w świat jako posiadłości innych narodów. Szerzyli przekonanie, że świat ten czeka na ich gwałt czołgowy i bombowy. Praktyczną korzyść utożsamiali ze zwycięstwem wojennym, wszystkie idee i działania napastnika uznawali za prawdziwe i dobre, jeśli prowadzą do zwycięstwa, i w zwycięstwie lub klęsce kazali widzieć rozstrzygnięcie kwestii, kto ma słuszność, a kto nie.

Nietzscheanizm, pragmatyzm i różne ich pochodne, to byli sprzymierzeńcy Hitlera w jego zdobywaniu kulturalnych Niemców. Pytanie, jak Hitler mógł ich ogłupić, znajduje tu częściowe przynajmniej wyjaśnienie. Nietzscheanizmy, pragmatyzmy utorowały mu drogę do niemieckiej inteligencji. To, co one w umysłach niemieckich podważyły, hitleryzm ostatecznie strącił; to, co one w umysłach niemieckich zasadziły, hitleryzm drapieżnie znacjonalizował. Niemieccy umysłowcy, nagiąwszy zręcznie myśli przyswojone sobie jeszcze przed Hitlerem, mogli bez dotkliwszych skrupułów stać się lojalnymi obywatelami Hitlera. A w dzień, kiedy Napoleoś powołał ich w bojowe szeregi, mogli bez poważniejszych wstrętów umysłu nieść w „giętki i plastyczny świat" dotyk niemieckiej łapy, mogli upajać się nietzscheańską myślą, że cierpienie, które zadają, jest czynnikiem ich radości, że krew, którą rozlewają, jest ich winem, że śmierć, którą szerzą, oznacza rozrost ich życia.

Kujbyszew 1942. **Tadeusz Peiper**

JERZY ZAWIEYSKI

O poezji Juliana Przybosia

Marii i Kazimierzowi Brandysom

I

Tom Przybosia „Miejsce na Ziemi" jest zbiorem utworów poetyckich tworzonych na przestrzeni dwudziestoletniej działalności poety. „Zamknął się" — jak stwierdza w przedmowie Przyboś — „jeden krąg poetyckiego doświadczenia". „Miejsce na Ziemi" jako zbiór i jako wybór stanowi zatem całość pewnego etapu, jest dziełem dłuższego okresu życia, jest zarazem książką legitymującą rangę i charakter poetyckich osiągnięć autora.

Powiedzmy od razu, że sztuka poetycka Przybosia jest zjawiskiem wielkiego zakroju, wyróżniającego się zarówno odrębnością jak i dojrzałym wyrazem od wielu współczesnych wybitnych dzieł poetyckich. Przyboś mówi nowym poetyckim językiem, tworzy rzeczy oryginalne, jest odkrywczy, rewolucyjny, świadomy i konsekwentny. Przebył długą drogę doświadczeń twórczych, wzbogacających jego skalę odczuwań i poetyckiego wyrazu, dalekich od eksperymentowania, od czegoś, co jest próbą, odrzucaniem dawnego w ciągłej trosce o nowe. Zdumiewające w tej twórczości jest to, że od początku poeta zdobył pewność drogi, tożsamość, że jest jednolity, nieomal bezbłędny, bez wahań. To, co jest ewolucją i dojrzałością, wyraża się przez wzbogacenie poetyckich środków i przez osiąganie coraz to rozleglejszej skali odczuwań. Ta dziwna, oryginalna i — jak chcą niektórzy — trudna, a nawet hermetyczna twórczość poety jest już dzisiaj nie tylko faktem odrębnego poetyckiego kształtu, lecz także zastanawiającym faktem kulturalnym.

Aby odpowiedzieć sobie na pytanie: czym jest twórczość Przybosia? — spróbujmy określić ją choćby przez pobieżne porównanie i analogie z głównymi prądami poetyckimi minionej epoki.

II

Pomińmy realizm poetycki grupy „Skamandra", która oddala się od naszych czasów, przezwyciężona zarówno filozoficznie, jak i artystycznie. Grupa ta była z pewnymi modyfikacjami kontynuacją stylu poetyckiego Staffa, z dodaniem nowych motywów wynikających z temperamentu witalistycznego i z biologizmu. Rewolucyjność i nowość Skamandra stanowiły elementy treściowe w swej warstwie znaczeniowej obejmujące życie codzienne, nudę i szarość tego życia lub upojenie się nim. Nastrojowość tetmajerowsko-staffowska, symbolizm, poetycki reportaż lub opis miały wyrażać epokę w jej związkach z życiem, a zwłaszcza z sytuacją heroiczną „szarego człowieka". Pod względem artystycznym był to dalszy ciąg poetyki Młodej Polski, z urozmaiceniem sztuki rymowania przez zastosowanie asonansów, — a głównym poetyckim środkiem stała się pointe'a, owa meta artystycznego kształtowania.

Z dzisiejszej perspektywy dorobek ongiś „rewolucyjnego" Skamandra określić można jako literaturę wierszowaną, bez trwalszych osiągnięć artystycznych. Wyjątek stanowić tu muszą: cała twórczość Lechonia, która środkami poetyckiego wyrazu odbiega od generalnej linii poetyckiej tej grupy, — oraz wiele utworów Tuwima, niektóre Lieberta.

Z typem poezji skamandrytowej nie ma nic wspólnego twórczość Przybosia. Za to wiele zbliżeń i wiele równocześnie odchyleń ma poeta z inną grupą, objętą dość rozległą i nieścisłą nazwą „awangardy".

O ile trudno określić pozytywny program awangardy, gdyż wypowiedzi poszczególnych jej twórców stanowią obraz często wielkich sprzeczności — o tyle łatwo jest uchwycić jej negatywny program w stosunku do tzw. realizmu poetyckiego grupy Skamandra i jej naśladowców lub kontynuatorów.

Wielką zasługą awangardy jest dążność do rozróżnienia czystości gatunku poetyckiego jakim jest liryka, poezja sensu stricto, w zestawieniu z jej przeczeniem i przeciwieństwem, czyli nie-poezją, nie-liryką, — więc prozą. Cały zatem dylemat głównej problematyki awangardy wyrażał się w rozgraniczeniu pojęć: poezja i proza. Poezja, według awangardy, jest mową odrębną, jej tok, rytm, obrazowość, układ logiczny wynika z jej własnych praw, które dyktuje „wzruszona wyobraźnia" poety. Proza natomiast jest mową codzienną, surową, piękną jedynie o tyle, o ile potrafi ukazać nam prostym, zwykłym trybem rzeczywistość empiryczną i jej egzystencjalność. „Poezją jest to". — mówi Przyboś — co nie da się powiedzieć językiem potocznym, prozą". Forma negatywna twierdzenia brzmiałaby: „nie jest poezją to, co się da przetłumaczyć na język prozy". (Julian Przyboś, „Z teorii i praktyki poetyckiej", „Odrodzenie" nr 19). Usunięcie prozy z poezji, czyli tzw. prozaizmów było naczelnym zadaniem awangardy. Jednym z pierwszych bojowników o postulat metaforyczności mowy poetyckiej i jej związków z cywilizacją przemysłową naszej epoki — był Tadeusz Peiper, redaktor „Zwrotnicy" — pisma, w którym przed dwudziestu laty drukował swoje pierwsze utwory Julian Przyboś.

W poezji awangardy mamy więc odrzucenie realistycznego opisu lub reportażu wraz z rymem asonansowym i pointe'ą — na rzecz metafory, obrazowania pozornie alogicznego i rytmiki nie uwarunkowanej strofą. Zerwanie z naiwnym, deskryptywnym realizmem miało poważne skutki, nie tylko poetyckie, lecz filozoficzne. Tok obrazowania osadzany nie na przesłankach logiki rozumowej, lecz na przesłankach logiki wewnętrznych stanów poety, nadto szeroka swoboda metaforyzowania rzeczywistości — prowadziły do deformacji świata, o którym chętnie mówiono, że jest wizją, czymś śnionym, co przepływa przez świadomość. Owa wizja i wizyjność świata nie da się okiełznać i podporządkować realnemu poczuciu istnienia. Stąd wynika pierwsza konsekwencja natury artystycznej, która charakteryzuje się przez elementy baśniowości, fantastyki, mitologizacji rzeczywistości i jej odhumanizowania, stąd także przeświadczenie o dziwności świata, o jego niewyrażalności i nieuchwytności. Wiele utworów poetów awangardy na tej płynności i elemencie baśni opiera swój byt i kształt artystyczny. Teoretyczne podstawy tej poezji, którą czasem nazywano „czystą", dał we Francji ks. H. Brémond opierając swój wywód intelektualny na przyjętej apriorycznej zasadzie, że poezją jest to, co niewyrażalne, co jest pozbawione związków z doświadczeniem życia realnego. Brémond tę zasadniczą cechę poezji czystej opatrzył mianem „inéfable", w czym mieszczą się razem wzięte irracjonalne elementy świata pojętego jako wizja nie dająca się określić. Najdoskonalszym wyrazem tego typu poezji śnionej, widmowej, wizyjnej, — jest poezja Józefa Czechowicza i jego licznych naśladowców.

Pod względem filozoficznym owo zakwestionowanie świata musiało prowadzić do postawy romantycznej, irracjonalnej, nasyconej gorzkim pesymizmem, zniechęceniem i smutkiem przemijania. W tej postawie, która była np. wspólną cechą grupy Czechowicza, można odnaleźć bliskie związki z epoką Młodej Polski, tak jak odnajdujemy je w grupie Skamandra. Środowisko poetów grupy Czechowicza przypomina także na mniejszą skalę środowisko entuzjastów Przybyszewskiego. Podobieństwo pomiędzy obyczajem tych środowisk, tak samo jak podobieństwo pomiędzy Czechowiczem a Przybyszewskim, nie jest przypadkowe.

Oprócz utworów poetyckich, które wyrażają podmiotową, biernie doznawaną wizję świata, przytłaczającego dziwnością, mamy utwory, w których świat jest obiektywizowany przez poetów i osądzany. Lecz i tutaj, na krańcu przedmiotowego sądzenia świata nurt filozoficzny płynie w tę samą stronę niepoznawalności, agnostycyzmu i sceptycyzmu. Co jest prawdziwie nami? Do czego dążymy? Ziemia jest wszystkim? Niebo jest wszystkim? Czy człowiek jest wszystkim? Brak odpowiedzi i decyzji był tą najgodniejszą, dumną, sceptyczną postawą. Czasami zmierzała ona ku celom ostatecznym i prorokowała zagładę. Wszystko ginie, przepada, wszystko jest ważne i nic nie jest ważne. Katastrofizm znajdował przesłanki w przeczuciach ogólnoludzkiej rzezi wojennej, oraz w niemocy tej mądrości, która sama siebie kwestionuje, nie mogąc znaleźć oparcia w czymś trwałym. Pewien ratunek znajdowała poezja współczesna w uczuciach religijnych, w katolicyzmie zwłaszcza, ale był to raczej katolicyzm niewierzących, osaczony zwątpieniem, — katolicyzm nihilistyczny. Ta postawa filozoficzna wyrażała się w poezji awangardowej pod postacią nieomal traktatów, tworzono całe poematy, w swoim przebiegu poetyckim interesujące jako obrazowość, jako zespół pięknych słów lub odkrywczych metafor, lecz trudnych do przyjęcia jako wywód intelektualny, a to właśnie stanowiło niejednokrotnie ambicję wielu poetów. Rozwlekłe tasiemce, niezdyscyplinowane, często ujęte w dialogi wsparte chórami, stanowią niejednokrotnie mistyfikację głębi intelektualnej, — poetycko są nużącą wizją, przepływającą obrazami, ciągle zmienną, w czasie zwielokrotnioną.

Przyznajmy jednak, że i w tej poezji, objętej pojemnym i niezbyt ścisłym mianem awangardy, mamy do zanotowania osiągnięcia wyjątkowej piękności i dużego znaczenia dla poezji w ogóle.

III

Przyboś reprezentuje inną postać awangardy. Z założeniami poetów tego samego kierunku ma jedynie wspólny pogląd na czystość gatunku poetyckiego tworzenia w odróżnieniu od prozy. Poza tym nie łączy go z nimi zupełnie nic — przeciwnie nawet: wszystko jest w jego twórczości inne, przeciwstawne. Aby zdać sobie sprawę z odmienności i „składu zasad" poezji Przybosia, zacytujmy na wstępie wyznanie samego poety: „Fundamentalną zasadą, na której budowałem swoją praktykę i teorię poetycką, była i jest **zasada rygoru**. Dążyłem i dążę do najsurowszej dyscypliny twórczej, do selekcji treści wewnętrznej i do największej celności wyrazu; do zwartości takiej, aby nie tylko żadne słowo nie było zbędne, ale żeby jego najdalszy odblask znaczeniowy działał w ścisłej zgodzie z odcieniami znaczeń wszystkich słów, wszystkich zdań — i wszystkich wzruszeń w poemacie". (Julian Przyboś, „Z teorii i praktyki poetyckiej", „Odrodzenie", nr 19).

Zdaje się, że owa „zasada rygoru" obejmująca selekcję treści wewnętrznej i dążąca tym samym do celności wyrazu jest istotnie punktem wyjścia dla oceny poezji Przybosia. Zbadajmy niektóre przebiegi i skutki, wynikające z „zasady rygoru" i jej ukształtowania w dziele poetyckim.

W poezji Przybosia uderza odmienny tok poetyckiego zdania, które opiera się na innej logice komunikatywności, niż zdanie mowy codziennej, prozaicznej. Naturalnie, każda mowa poetycka czerpie swoją odmienność z zasady posługiwania się nieschematycznym światem pojęć. Idzie tu nie tylko o zasadę, lecz o skalę rozpiętości i siłę różnicowania mowy poetyckiej. W swej „warstwie znaczeniowej" myślenie o świecie i odczuwanie świata przez Przybosia jest kondensacją i skrótem doprowadzonym nieomal do absolutnej zwięzłości i prawdy. Wiedza ta jest niejako odbarwiona od wszelkich wspierających ją elementów ubocznych i przekazywana już jako rezultat, jako wynik. Sam proces myślenia i notowania jego przebiegu odpada, zostaje zanotowany sens, wydźwięk ostateczny, — znak pewności i prawdy osiągniętej. Nie znaczy to, aby zdanie poetyckie Przybosia było szeregiem konstatacji, przeciwnie, — jest ono także ruchem i opisem, jest także walką, więc procesem o nasileniu elementów dramatycznych. Ale w odróżnieniu od liryki, posługującej się wielosłownością treści wewnętrznej i ujawnianiem jej bogactwa w stanach formowania się, — liryka Przybosia jest zdyscyplinowaną, wewnętrzną koniecznością, która staje się miernikiem selekcji. Gęstość zdania mowy poetyckiej Przybosia w jego warstwie znaczeniowej prowadzi konsekwentnie do analogicznych skutków artystycznych.

Liryka Przybosia — jak sam poeta wyznaje — wynika z „woli wymiernego kształtu"; dodajmy, że jest także budową, architektoniką wymierną, opartą na zasadach konstrukcji nie tylko układu, lecz na zasadach konstrukcji muzyki.

Zagadnienie architektoniki poezji Przybosia jest jednym z głównych zagadnień, jakie nasuwa jego wynalazcza twórczość poetycka. Przyboś odrzuca stroficzność, tradycyjną rytmikę zwrotkową, — i — jak się wydaje niektórym — w ogóle odrzuca rytm. Cóż pozostaje z klasycznych pojęć o związkach pomiędzy muzyką a wierszem, który właściwie jest słowną mową muzyczną? Lecz właśnie muzyka, muzyczność, to kwestie zbyt pojemne, aby się mogły pomieścić w kategoriach melodyjności, w powtarzalnym układzie rymu, lub w dźwiękach o miłym brzmieniu.

Poezja awangardy w ogóle, a zwłaszcza poezja Przybosia opiera się na zasadach muzyki najściślej, jest muzyczna, wynika z samej głębi muzycznego sensu, — i jak muzyka nowoczesna poszerza nasze wyobrażenia o muzyczności w ogóle. Kształtem muzycznym w poezji Przybosia jest rytm, który spaja konstrukcję utworu, oraz powtarzalność brzmień całych fraz, nie przez dobór podobnie dźwięczących znaków mowy, lecz przez ich układ i uszeregowanie.

Lecz najważniejsze, jako kwestia muzyczna w liryce Przybosia, jest jednolitość tonacji jego utworów. Dzięki niej mamy to szczególne zaznanie muzycznego kształtu, co jest cechą każdego artystycznego osiągnięcia. Wersyfikacja Przybosia istotnie odbiega od muzycznych konwencji i od naiwnych wyobrażeń o muzyczności wiersza, natomiast czerpie z muzyki jej najgłębsze prawa konstrukcji harmonicznego układu całości, spojonej zasadą rytmu. Rytm, ten czas muzyczny, a w odniesieniu do poezji: mowa milczenia, lub inaczej przestrzeń pozornie pusta, lecz wypełniona falującym wzruszeniem, stanowią główne elementy muzyczne sztuki wersyfikacyjnej Przybosia, z jej szczytowym osiągnięciem: poczuciem jednolitości tonacji.

Muzyczność ta otwiera drogę wizualności poetyckiej, poprzez którą poznajemy odczuwanie i myślenie Przybosia o świecie. Stajemy wobec nowego fenomenu, jakim jest wizja rzeczywistości myślanej i przeżywanej, ujawniana przez poetę środkami metafory i obrazowości. W dotychczasowej praktyce poetyckiej obrazowość wspierała się na znanych doświadczeniach naszego oka, któremu poetycki układ słów wzbogacał widzenie rzeczywistości przez trafność łączenia poszczególnych elementów w nową, odkrywczą całość. Wiedza o rzeczach świata powiększała się drogą komunikacji od widzenia kształtu do jego przeżycia, jako symbolu i jako przenośni. Metafora była niejako „napięciem kierunkowym" i centralnym nerwem obrazu, czasem błyskiem, oświecającym sens istotny słownej przestrzeni. Nawet jeśli to była fantastyka, obracała się w kręgu naszych wyobrażeń o świecie fantazji, wspierała się na konwencjach możliwych mniemań o wyglądzie świata fikcji lub mitu.

Przyboś tworzy inną wizualność. Czy abstrakcyjną? Konstrukcyjno-formistyczną — na wzór podobnych zjawisk w sztuce plastycznej? Czy oderwaną zupełnie od nurtu naszych doświadczeń?

Sprawa nie wyczerpuje się w jakimkolwiek z tych schematów. Wygląd obrazowy poezji Przybosia jest zarówno prosty, jak kunsztowny i skomplikowany. Przyboś „wymierny kształt" swej poezji buduje na „zasadzie rygoru", dążąc do zwięzłości poetyckiego obrazu. Jest oszczędny i surowy, — elementy jego obrazowania są nam z doświadczenia, z możności kojarzeń często nieznane, czerpie je poeta z własnych doświadczeń, — czerpie zarówno z pojęć, jak i z rzeczy, z widzianego i niewidzianego. Lecz elementy te, jakkolwiek stanowiłyby dla nas tylko wiedzę pojęciową o rzeczach, służą celowi odkrywczemu świata, służą rzeczywistości, a tym, co je do tego celu prowadzi, jest zwięzłość sformułowania oraz zawsze celna, olśniewająca trafnością i skrótem — metafora. Odległe związki przyczynowe warstwy znaczeniowej słów, ich pozornie oderwane uszeregowanie, są składnikami budowy, której pion stanowi prosta, nieodzowna i nieomylna prawda o świecie.

Tzw. „obrazowość" Przybosia znosi naszą schematyczną wiedzę, rozgraniczającą przedmioty pojmowane zmysłowo od przedmiotów pojmowanych umysłowo. Zarówno pojęcia jak i wyobrażenia konkretne stanowią tu nowy zespół połączeń, dających nowe artystyczne zaznania. Środki, którymi Przyboś wywołuje wizję rzeczy lub wiedzę o rzeczach, — są niejako „teatrem wyobraźni", uwrażliwionej na syntetyczną formę wyglądu rzeczy przedstawianych. Jego plastyka i wizyjność jest wieloraka, wymyka się z typu, obejmuje zarówno ruch, dynamikę, spięcia, — jak spokój opisu, bezruch, milczenie. Choć czas wyznaczający perspektywy ruchowe jest czasem teraźniejszym w liryce Przybosia, to jednak mnoży się on od form, również nowych w obrazie poetyckim, jak choćby częsta forma bezokolicznika, pozbawiająca czas jego kierunkowości. Np.: „Z odziomu, z trumny jaworu, z progu się wybłąkać... łkać" (Echo").

Obraz i metafora Przybosia, — jak cały jego trud artystyczny, — objęty jest „wolą wymiernego kształtu". Ma to oznaczać jeszcze jedną zasadę tej twórczości, która pragnie „wyrażać wyrażalne", wzbogacać pojemność zjawisk konkretnych — w odróżnieniu od naczelnej zasady innych poetów, którzy pragną „wyrażać niewyrażalne". Z tej zasady wynikają skutki zarówno artystyczne jak i filozoficzne.

Dla poezji współczesnej, a zwłaszcza dla „poezji czystej" — „niewyrażalne" mieściło się poza wymiernością świata, który z konieczności ulegał zakwestionowaniu, jako oczywista prawda bytu, przekształcał się i deformował w inną, właśnie „niewyrażalną" rzeczywistość. Fantastyka i baśniowość prowadziła poetów w głąb niezbadaną, w przestrzeń bez wyjścia, lub z wyjściem w niewymierność, w nieskończoność, we wszelkie strony pojęć negatywnych w stosunku do świata wymiaru.

Przyboś osadza świat w jego wymierności i to właśnie jest jego twórczym zamysłem, aby świat ten poetycko wytłumaczyć, obezwładnić nazwą trafną i jedyną. „Wymierność" oznacza ograniczenie, skończoność, kres, zupełność bez odczucia potrzeby jakiegokolwiek braku, jakiejkolwiek metafizyki. Pomińmy racje ontologiczne tak pojętej sprawy i zastanówmy się raczej nad stosunkiem skutku do zamiaru. Wydaje mi się, że ta zasada, konsekwentna u Przybosia w całości, w jej wyglądzie ogólnym, chwieje się nieco w swych elementach artystyczno-wyrazowych. Przyboś nie ustrzega się deformacji świata. Jego deformacja jest wynikiem odrębnej wizualności, która obejmuje w jedno przedmioty pojęć i przedmioty rzeczy, tworząc kontury często nieobecne w naszym doświadczeniu, lecz mimo to wyraziste i piękne, jako nowa możliwość wiedzy o rzeczach. W tym umownym sensie zachodzi fakt deformacji innej niż u poetów awangardy (bo nie wynika z zasady poznawczej w stosunku do świata), fakt, który świadczy zapewne o tym, że wszelka mowa poetycka oddalając się od mowy prozy tym samym przekształca schemat naszych pojęć o rzeczywistości. Natomiast wymierność poezji Przybosia nadają jego metafory, które przygważdżają do ziemi wszystko co przedtem było oderwanym pojęciem, tokiem gęstych słów, poetycką wizją. Zadziwiające jest to, że metafora Przybosia jest właśnie wymierna, gdy dotąd ona przede wszystkim w poezji wyrażała niewyrażalne i niewymierne. (Uwagi niniejsze zostały napisane przed ukazaniem się w nr 45 „Odrodzenia" bardzo ciekawej i bardzo wnikliwej analizy estetycznej K. Wyki o poezji Przybosia. Pewne zbieżności są tutaj wynikiem podobnego zrozumienia i odczucia tej poezji).

Mimo że metafora i obrazowość Przybosia jest wynikiem **świadomej** woli kształtowania, wielka siła tej poezji wyraża się w jej nurcie uczuciowym, który powoduje rzadkie i szczególne w nas wzruszenia. Rodzaj tego wzruszenia jest surowy, męski, obejmuje świat rzeczywisty i nas samych, nie odrywa

się od ziemi, aby szukać zaczepień gdzie indziej.

„Ziemia", jak zresztą wskazuje na to tytuł zbioru, jest skrótem filozoficznego motywu twórczości poety.

Mowa tej poezji jest mową **podmiotu uspołecznionego**, — „ja" Przybosia nie odrywa się od świata, lecz ku niemu się zwraca, ogarnia go wolą przekształcania społecznego, nasyca go własnym buntem i niezgodą. Dynamika walki przenika nurtem uczuciowym i namiętnym większość utworów, które powstały z woli wezwania do przeobrażeń życia. Lecz w najbardziej „programowych" utworach nie ma nic z mowy znaczeniowej tych sformułowań, które znamy z przebiegów życia codziennego. Poezja Przybosia mówi nieznanym nam dotąd słowem poetyckiego kształtu o sprawach bliskich i znanych. To chyba jej nadaje siłę i odrębność, to także stanowi o jej wyglądzie filozoficznym, który może się wyrazić w języku pojęciowym, jako postawa humanistyczno-realistyczna.

Zbiory dawniejsze, jak „Równanie serca", „Oburącz", a zwłaszcza ostatni „Póki my żyjemy", to poza wartościami artystycznymi — wzór poezji społecznej, której znaczeniowa, ideologiczna treść nie sprowadza jej do rzędu sztuki programowej, mimo że programowość jest jej integralnym składnikiem.

Obok tych utworów, nasyconych wolą przeobrażenia świata, mamy w „Miejscu na Ziemi" zbiory najczystszej liryki, tzw. „osobistej", o tonacji ściszonej, o liniach prostych, osadzonych na wzruszeniu najgłębszym i na mądrości spokoju. Są to zwłaszcza zbiory „Pióro z ognia" i „Do Ciebie o mnie".

Tzw. prozy „Pióra z ognia" nie da się z niczym porównać, chyba, na innym krańcu sztuki prozaicznej, z niektórymi opowiadaniami J. Iwaszkiewicza, posiadającymi w toku relacji tę samą odkrywczą siłę, co poetycka wizja w „prozie" Przybosia. Zbiór „Do Ciebie o mnie" jest rewelacją, jako nowa możliwość poety, jako odrębna tonacja w jego twórczości. Przemawia tu Przyboś mową wielkiego wzruszenia, środkami prostszymi niż gdzie indziej, jest zwarty, mądry mądrością dojrzałego poety. Obok innych wielu utworów Przybosia zostaną na pewno w liryce polskiej takie jak: „Cicho, nisko", „Tytuł wieczoru", „Bez słów", „Na wzniesieniu najdalszym".

Pozwólmy sobie zacytować ostatni:

Na wzniesieniu najdalszym, ze słowem
stanę nakoniec. [naczelnym
Głową
odsłonię
gwiazdę;
świat uzupełnię.

Na wzgórku każdym
złożę Ziemię.

Ostatnie słowo
od ust sobie odejmę:
podzielę się z wami milczeniem.

IV

Uwagi o poezji Przybosia byłyby niepełne, gdyby się nie dotknęło jeszcze jednej sprawy, która łączy się ściśle z naturą talentu poety. Twórczość ta wyrasta nie tylko z określonego charakteru dyspozycji osobowych Przybosia, lecz wyrasta z świadomego siebie zadania, z wiedzy o sztuce w ogóle, z kontroli intelektualnej, która nie przebacza żadnej konwencji, żadnym śladom już ustalonym. Na drodze samowiedzy artystycznej rodzi się odkrywczość środków, tutaj poeta mierzy się z pojęciami jego czasu, obala je, aby znaleźć nowe i własne.

Przyboś jest prawdziwym artystą-twórcą, tzn., że stawia sobie problemy, jakich przed nim nikt sobie nie stawiał, — i pragnie dla ich nowego rozwiązania znaleźć własny wyraz artystyczny. Tylko on sam wie, co zastał w poezji jako np. zagadnienie stosunku do przyrody lub jako zagadnienie miłości mężczyzny do kobiety, jako wspomnienie dzieciństwa, smutek lub radość. Mówią nam o tym już rezultaty zawarte w tomach „Równanie serca" lub „Do Ciebie o mnie". Samej tej kwestii nikt inny nie zna poza artystą, który szuka w sztuce odpowiedników zarówno dla kwestii jak i dla czasu, który go prowadzi w głąb konieczności, zwanej „wyrazem epoki". Przyboś objawia nowe możliwości poetyckiej mowy, jest w tym względzie odkrywczy i śmiały, nie zrażony zarzutem trudności swej poezji, — przeciwnie świadomy, że to co odnalazł jest drogą szerszą niż własna jego ścieżka.

W artykule „Z teorii i praktyki poetyckiej" pisze Przyboś o poezji: „...istotą stylu jedynie trafnego w poezji jest wieczna wynalazczość nurt mowy nigdy nie zakrzepły w kształt ustalony, w to, co się właśnie pospolicie nazywa stylem, nurt mowy ciągle rzeźbiący sobie nowe brzegi. Dlatego też nie można wskazać poecie mistrzów jego stylu, nie można mu przepisać stylu, który mógłby kształtować jego środki wyrazu. Tam, gdzie się kończy wynalazczość, — kończy się poezja, a zaczyna powtarzanie, stylizacja, zdobnictwo. To dlatego poezja jest najbardziej postępowym gatunkiem literackim, najczulszym miernikiem napięć twórczych".

Wyznanie to jest bezcenne, nie tylko jako program osobisty, lecz jako program każdej dobrej literatury. Obrona tych wartości, to obrona literatury w ogóle, która bez ambicji wynalazczych przestaje być literaturą artystyczną.

W artykule „Uwagi o Mickiewiczu poecie" („Odrodzenie", nr 10—12), artykule, który jest chlubą myśli krytycznej Przybosia, podejmuje poeta tę samą kwestię wynalazczości w odniesieniu do największego artysty słowa. I tutaj pasjonuje go sposób pisania Mickiewicza, cała ta rozwojowa droga pełna wstrząsów i załamań, jaką przebywa każdy świadomy swej pracy pisarz. Myśli Przybosia o Mickiewiczu-poecie są trafne i nowe jako procesy badawcze, lecz są zarazem przejmujące jako dowód jego własnych, osobistych trudów twórczych. W jakimś miejscu swoich rozważań podejmuje sformułowania-postulaty, które odnoszą się do Mickiewicza, do poezji w ogóle i do niego samego:

„...Słowo zrealizowane, jedyne dla każdej myśli poetyckiej, to nie tylko pojęciowa obwódka, słownikowa nazwa, to nie tylko **dźwięk. Myśl poetycka tak musi się rozkrzewić** we wrażliwości poety, tak wróść **we** wszystkie zmysły, że wcielona w słowo i dźwięczy i gra i płonie i świeci, nabiera ruchu, leci, toczy się, jak rzecz okrągła, staje się dotykalna i podatna pieszczocie dłoni. Wszystkie zmysły uczestniczą w tej kreacji poetyckiego słowa... Bo też język prawdziwej poezji jest mową największej zwięzłości, mową odkrywczą, nie dopuszczającą dowolności. Prawdziwy poeta nie zmyśla i nie obgaduje swoich uczuć, on swoje uczucia formułuje".

Powiedzmy z całą odpowiedzialnością na zakończenie tych uwag, że poezja Przybosia spełnia warunki nakazane sobie przez samowiedzę artystyczną, jest wspaniała w swoim kształcie, — i jest przejmująca jako proces twórczy, w którym widzimy jasno cały niezgłębiony trud świadomego artysty.

Jerzy Zawieyski

Matisse o malarstwie

Zdefiniować Matisse'a, znaleźć dla jego twórczości jakieś słowo określające jej rodzaj, jest dzisiaj, jak się okazuje, jeszcze trudniej niż kiedykolwiek w przeszłości. Retrospektywna wystawa prac Matisse'a w paryskim Salonie Jesiennym ukazuje bowiem, co wszyscy krytycy zgodnie podnoszą, całą epokę francuskiego malarstwa. Jeżeli w związku z Matissem pada słowo **Fauvizm**, to jest to tylko jeden z etapów rozwoju tego siedemdziesięciopięcioletniego twórcy, który nawet dzisiaj nie osiągnął jeszcze szczytu swoich możliwości, jeśli za szczyt uważa się to miejsce w rozwoju, skąd już dalej, wyżej, posunąć się nie można. „Matisse" — pisze Louis Parrot w wychodzącym w Genewie miesięczniku „Labyrinthe" — „jest ciągle daleki od wyczerpania swoich zdolności odkrywczych i ostatnie jego obrazy są rewelacyjne jako świadectwa ustawicznego, skrupulatnego niezaspokojenia, które charakteryzuje każdego prawdziwego artystę". Wystawa paryska ukazuje drogę jaką przebył Matisse od czasu pierwszego namalowanego płótna. A w drodze tej było tak wiele etapów, że malarze, dla których Matisse w różnych okresach swojej twórczości był natchnieniem, nie zawsze mogą się między sobą porozumieć.

O różnorodności spojrzeń na Matisse'a świadczą próby określenia istoty jego twórczości, jego ideologii artystycznej. Jakżeż różne padały określenia. Spontaniczność, uczucie. I równolegle: organizacja, intelektualizm. Kolor i przeciwstawnie: rysunek.

Paryskie „Lettres Françaises" zamieściły rozmowę z Matissem, którego wypowiedzi wprowadzają ład do poglądów nie tylko na jego własną twórczość, lecz do poglądów na sztukę nowoczesną w ogóle.

BEZPOŚREDNIOŚĆ

Świeżość dzieł Matisse'a była niejednokrotnie podstawą osądów, że maluje on jednym dotknięciem pędzla. Ten pozór dla wielu malarzy stanowił nawet zachętę do świadomej rezygnacji z wszelkiego wysiłku intelektualnego. Szkic jako wyraz przeżycia artystycznie nieskrępowanego uchodził nawet za ideał plastyczny. Troszczono się przede wszystkim, by przeżycie zachowało na płótnie bezpośredniość pierwszego wzruszenia.

„Nigdy nie poszukiwałem spontaniczności" — stwierdza Matisse. „Dziewczynę w bluzce rumuńskiej" malowałem sześć miesięcy". A świeżość? **„Opanowanie środków malarskich winno być tak doskonałe, by nie absorbowały one świadomości, by można się nimi było bezwiednie w pracy posługiwać. Dopiero wtedy obraz wywoła wrażenie bezpośrednie, tak, jakby był z samego natchnienia zrobiony".**

Matisse nie przeciwstawia tych dwóch pojęć: natchnienia i organizacji. Natchnienie jest dla niego tym surowcem wzruszenia, którym rozporządza każdy artysta. Tajemnica dzieła sztuki tkwi w jego organizacji intelektualnej.

„Malarstwo, tak jak wszystkie inne sztuki, wymaga organizacji osiągalnej środkami bardzo konkretnymi, bardzo świadomymi. Organizacji siły — kolory są tą siłą, — jak muzyka — organizacji dźwięków".

WYSIŁEK INTELEKTUALNY

To jasne, że u narodzin każdego dzieła sztuki jest wzruszenie. Lecz czy to oznacza, że uczucie wystarcza do jego utrwalenia? Jest to problem zasadniczy nie tylko w malarstwie. Całe nieporozumienie w poglądach na sztukę nowoczesną tutaj się zawiera.

Od wzruszenia do dzieła sztuki wiedzie długa droga intelektualnych doświadczeń. To, co wydaje się tak proste, że aż banalne, wymaga wysiłku umysłowego, kontrolującego prawidłowość narastania kształtu. To, co uważa się za poszukiwanie formalne, jest integralną treścią artystycznego przeżycia.

„Pracuję wzruszeniem. Mam koncepcję w głowie i pragnę ją zrealizować. Znam zawsze mój cel ostateczny".

Matisse nie lekceważy żadnych środków, które by go utwierdziły, że droga, którą do celu zdąża, jest słuszna. Obraz w każdym zasadniczym momencie powstawania jest fotografowany i porównanie jego stanów przeszłych umożliwia sprawdzenie czy realizacja postępuje, czy wysiłek organizuje wzruszenie bezbłędnie w stosunku do zasadniczej koncepcji. To umożliwia kontrolę nad natchnieniem, by się nie przesiliło, gdyż „niemożliwe jest popychanie go palcem" bez utraty jego szczerości.

UCZUCIE

„Uczucie jest samo w sobie. Nie można sobie powiedzieć: Dzisiaj będę robił uczucie. Jest to coś najbardziej autentycznego, najbardziej poważnego.

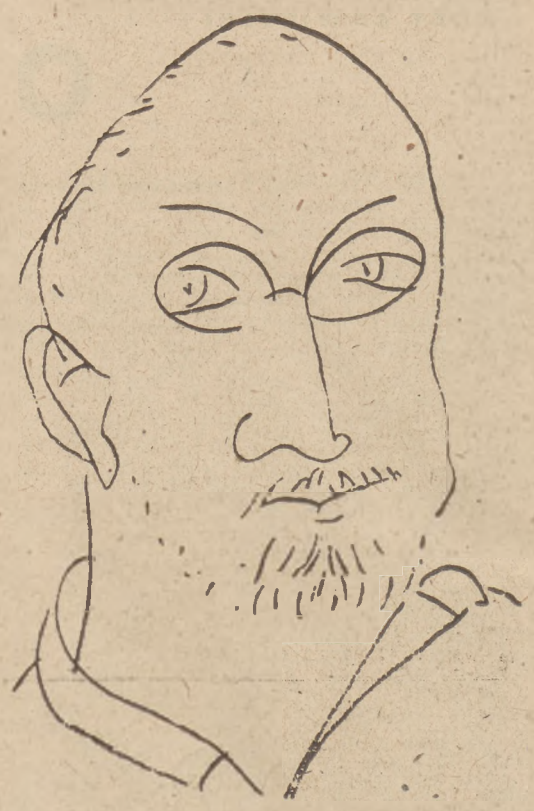

Henri Matisse. Autoportret

Uczucie jest tylko wtedy nieprzyjacielem artysty, gdy go on nie umie wyrazić. A trzeba go wyrażać całkowicie. Jeśli nie czyni się wysiłków, by go ukształtować do końca, wyraża się go jedynie w przybliżeniu". A przybliżenie w sztuce, gdzie rządzi precyzja — jest klęską. Matisse w zdaniach tych wyraża najbardziej zasadniczą prawdę o sztuce. Bo uczucie, wzruszenie, nie jest łatwizną, którą można przyjąć „spontanicznie". Bo nie o sentymentalizm chodzi. Zresztą pogląd swój konkretyzuje bardzo ściśle pojęciami plastycznymi:

„Uczucie jest niezależne od zmiany kolorów. Jeśli zieleń będzie zastąpiona przez czerwień, obraz zmieni jedynie wygląd, lecz nie zmieni uczucia, które wartościami malarskimi wznosi. Barwy są bowiem siłą malarstwa. Trzeba je tylko organizować dla stworzenia całości. Tak samo jak w instrumentacji, gdzie partie muzyczne dzieli się pomiędzy instrumenty, których brzmienie można wzmocnić brzmieniem instrumentów innych".

POSTAWA MORALNA

Dzieło sztuki nie może powstać nigdy z kompromisu. Wobec nikogo i wobec niczego. Zależy ono przede wszystkim od postawy moralnej artysty.

„Artysta jest eksploratorem. Niech odkrycia swoje zacznie od samego siebie. Tylko bez przymusu. I niech nie ulega z łatwością"!

„Przede wszystkim trzeba wyrobić w sobie przyzwyczajenie, żeby nie kłamać ani sobie, ani innym. Tutaj bije źródło dramatu tylu artystów współczesnych. Mówią sobie: uczynię ustępstwa publiczności, a jak zarobię dostatecznie wiele pieniędzy, będę pracował dla siebie. Już od tej chwili są zgubieni. Zachowują się jak kobiety, które prostytucją chcą sobie zarobić na posag".

Sztuka wymaga całkowitego wyrzeczenia. „Trzeba się żywić śledziem i wodą".

Dzieło sztuki nie może być kompromisem nawet wobec tego, co jest uważane za styl epoki. Styl epoki — mówi Matisse — nie powinien być zmartwieniem artystów epokę tworzących.

„Strzeżcie się ustępstw! Ważna jest nie ilość namalowanych obrazów, lecz organizacja waszego mózgu, ład w umyśle, co — i tylko to — pozwoli wam zrealizować wasze **zamierzenia artystyczne".**

TEMAT

Dzisiaj, kiedy żądamy od sztuki, by ukazała człowieka, jakie miejsce w tym wspólnym, oczekującym nas wszystkich wysiłku zajmie malarstwo? Czy pójdzie najłatwiejszą drogą tematu i środki swoje użyje na **bezpośrednie opowiadanie o człowieku?**

Matisse, jeden z najbardziej suwerennych artystów europejskich, widzi tylko jedną drogę:

„Ludzkie, cóż to jest w rzeczywistości? Jest to zdolność, jaką mają niektórzy do identyfikowania się z przestrzenią i ludźmi otaczającymi ich, z kwiatami, które widzą, z krajobrazami, w których żyją. **Kolory obrazu, tak jak frazy symfonii nie potrzebują anegdoty,** aby wywołać w widzu czy słuchaczu wrażenie, że artysta jest istotą czułą i szlachetną".

b

Henri Matisse **Śpiąca dziewczyna w bluzce rumuńskiej**

ANNA KAMIEŃSKA

Wyobraźnia

Pokonać obraz — zmieściłby się w źrenicy kuropatwy.

Ludzie spojrzeli w górę, runęli do bram, zatrzepotawszy rękami padali na wznak, palcami darli kamienie. Nim oprzytomnieli, trawa rosła.

Sześciu ludzi wlecze wątły pień w górę zamieci.

Wykopano mokrą jamę i inne były znaki rąk ludzkich. W ciszy tak ciężkiej, że przechodzące wojska, nogi obuwszy chmurami, nie trąciły powietrza, słyszano pacierze opadające z nieba.

Sześciu ludzi wlecze wątły pień w górę zamieci.

Imiona chłopców, którzy wyszli za miasto, salwami wydzierano z miłości rodziców. Ci spoglądali na książki i piłkę zostawioną pod liściem łopianu.

Sześciu ludzi wlecze wątły pień w górę zamieci.

Upadały miasta jakby były z marzeń. Niecierpliwe i szlachetne upadały tuż przed spełnieniem. Po szarej fałdzie na leżącym kamieniu poznaje się łuk katedralnego kościoła. Niebo szuka, gdzieby odcisk dachów złożyć i wieże wsunąć w błękit bliskiej wiosny.

Sześciu ludzi wlecze wątły pień w górę zamieci.

Przegląd teatralny

W TEATRACH KRAKOWSKICH.

Do teatru Starego, który ma progi bardzo gościnne, ostatnio zajechała z Łodzi szopka polityczna, pióra Brzechwy i Minkiewicza, a kukiełek Zaruby i W. Ulanowskiego. Po tylu latach! Ileż wspomnień! Od kilku pokoleń literackich taka szopka należy u nas do narodowego obrządku. Obrządzał w niej Boy wielkich swojego świata sprzed tamtej wojny, obrządzali w niej najlepsi satyrycy Skamandra świat polityczny sanacji, a w końcowych latach przed ostatnią wojną przejęli z ich rąk patent na szopkę warszawską Światopełk Karpiński i Janusz Minkiewicz. Światek umarł zaraz pierwszej wojennej zimy w Wilnie. Został Janusz! Ostatni co tak szopkę wodzi!

Dotknięcie to samo! Inteligentne, lekkie, sprytne, wielka zręczność do rymów ekwilibrystycznych i jeszcze większa lotność do kalamburów. Narzędzia więc są, i sosik. Tylko kogo przyprawiać? Pierwszeństwo się należy ministrom. I oni, zdaje się, nie byliby od tego. Bo szopka to zawsze sprawdzian popularności i sympatii. Nie u satyryków. To znaczy nie wyłącznie u satyryków. Ale przede wszystkim w narodzie. Bo autorzy szopkowi wymyślają jedynie w jaki najlepszy sposób wytknąć wielkim ich śmiesznostki, słabostki i ułomne cechy. Ale wpierw te słabostki musi dostrzec oko tłumu. Wpierw się one muszą należycie spopularyzować. A nie spopularyzowały się jeszcze. Mamy już generałów, dostojników, mężów stanu, dyplomatów, ale jakiego który z nich ma konika, a ten konik jakie ma narowy, jakie nawyki, jakie mu się zdarzyły potknięcia, jeszcze nie wiemy. Publicznie! Czyżby żadne? To byłby koniec dla szopki. Lecz ja się odnoszę z zaufaniem do rządu. On jej na śmierć nie skaże!

Najlepiej więc wypadły figury znane nam sprzed wojny, albo takie, które nam wojna wpakowała łopatą w łeb. Więc Mikołajczyka, Hirohity, Trumana, Churchilla, Franca, a z dawnych Nałkowskiej, a w pewnym stopniu Słonimskiego, choć to jedyna kukiełka o tekście przykrym, od którego człowiek cierpł. Wszystkich innych, wróg czy przyjaciel, — aby tylko miał poczucie humoru — mógł słuchać mile i spokojnie. Mówię, rzecz prosta, o wersji krakowskiej, bo na pełny tekst łódzki nie dał teatrowi Staremu rozgrzeszenia jego kierownik literacki, pewien mąż doskonały. Krakowska szopka uzyskała zresztą nie tylko tekst bardziej pogobojny, ale i cztery dodatkowe kukiełki: Ćwiklińską, Drobnera, Polewkę i wspomnianego wyżej Zawieyskiego, którzy wstąpili do stajenki na miejsce prezydenta Mijala, bo to postać nadto łódzka, aby ją Krakowowi pokazywać było warto oraz metropolity Sapiehy, bo to postać nadto krakowska, żeby ją Krakowowi pokazywać było można. Wreszcie należało znaleźć zastępstwo dla kukiełki Wincentego Witosa, którą jego własna śmierć pociągnęła za sobą na tamten świat.

W całej szopce jest pewna nowość. Oprócz osób występują w niej pojęcia. BOS! Kinofikacja! Jedno i drugie szczypnięte za nieczynność. Ale w ich towarzystwie nie występuje „Czytelnik"! Przeciwnie. Szopka go broni. Przenosząc śmieszność, która się wokół niego plącze na autorów. Tych których „Czytelnik" odrzucił i którzy mu teraz dogryzają. Tak nie można! Szopka to nie polemika. Dostał się kto pod ogólną szprycę dowcipów, przechodzi taki do szopki. Jej kółka właśnie się toczą tylko po torach wyjeżdżonych kolejką. „Czytelnikowi" się przypina łatkę, że dotąd mało co książek opublikował. Moim zdaniem niesłusznie. Bo, proszę, kto inny wydał? Mówię oczywiście nie o jednym numerku, ale o takim rozmachu, jakiego się od „Czytelnika" żąda. Jeden jest tylko autor w nowej wydawniczej erze obsłużony wspaniale. Siedem tomów. 2000 stron! Nowiuteńkich. To dzieła Św. Teresy. Ale cóż to za przykład. Najpierw i ranga wydawcy wyższa, bo wydawał je generał Karmelitów, a Jerzy Borejsza jest tylko major, a po drugie autorem tutaj jest osoba święta. Więc może tu zaszedł cud. Ale serio mówiąc szpunt z książkami wynika z braku wielkich kapitałów zakładowych. Wszędzie. Niestety również i u „Czytelnika". Książki wiążą kapitał na długo. Sprzedają się wolno. Nie to co pisma codzienne czy periodyki. Jedynym więc sposobem zlikwidowania wydawniczego zatwardzenia byłaby ustawa biblioteczna, tworząca legion natychmiastowych odbiorców. Lecz takiej ustawy nie ma. Książek nie ma. Do czasu więc pozostał nam żart. I żart ten zewsząd kąsa „Czytelnika". W słowie, w piśmie, we dnie, i w nocy. Mnie samemu, mimo że na „Czytelnika" mam ugodowy pogląd za dnia, śni się w nocy dyrektor wydziału wydawniczego tej firmy jako car Aleksander, który mnie przestrzega historycznymi słowami, mnie i moich literackich kolegów: „Point de rêveries, messieurs! Point de rêveries!".

Kukiełki wyborne! Premier, Churchill, Borejsza! Wogóle wszystkie. Kukiełki dodane na Kraków również świetne. Mają i podobieństwo i charakter, tylko w kolorach za mało kontrastu. **T. Breza**

TEATR MARIONETEK W LUBLINIE

W kronice teatru lalek, tak skromnej u nas, tak niebogatej w zdarzenia, zjawiła się nowa pozycja — lubelski teatr marionetek „Bemol". Nie wystarczy jednak powiedzieć „nowa", trzeba dodać, że jest efektowna i wartościowa. Takie właśnie określenia nasunąć się muszą każdemu, kto widział wystawione tam obecnie widowisko „Świniarek i królewna".

Na czele teatrzyku stoją: **St. Szeligowska i Jarosław Kawa.** Prześliczna bajka Andersena posłużyła za temat przedstawienia, które jest istotnie warte obejrzenia. Pomysł umieszczenia andersenowskiej fabuły na rokokowym tle wypadł bardzo szczęśliwie. Baśń wystawiona w formie opery komicznej zyskała nowe, nieoczekiwane wartości, nie tracąc przy tym nic z właściwego sobie czaru. Tekst muzyczny, zharmonizowany z rokokową dekoracją i z treścią poszczególnych scen, to zręczny montaż, na który złożyły się odpowiednie utwory kompozytorów XVIII w., Piccinnego, Bruniego, Laujon, Solie i Marais. Menuet J. J. Rousseau, gawot Jully'ego, aria i tercet z „Zaczarowanego fletu" Mozarta, użyte w pewnych momentach jako ilustracja muzyczna, dostrojone są idealnie do całości.

Subtelny urok andersenowskiej baśni i lekkomyślny wdzięk rokokowej epoki nie są jednak tutaj celem samym w sobie. Jest to tylko błyskotliwa, ale przeźroczysta zasłona, poprzez którą widać głębię zamyślenia nad prostą prawdą o człowieku i jego istotnych wartościach. Ta udana próba połączenia baśni z ironicznym spojrzeniem dzisiejszego człowieka na epokę, stanowiącą szczególnie ostry kontrast z dzisiejszą rzeczywistością, jest bardzo ciekawym osiągnięciem. Groteskowy charakter teatru lalek sprzyja szczególnie takiemu ujęciu sztuki. Estetyczne powiązanie elementów dydaktycznych z poetyckim pięknem nie jest jednak rzeczą łatwą. Teatr „Bemol" rozwiązał to trudne zadanie nie tylko szczęśliwie, ale i efektownie.

Lalki i dekoracje Jarosława Kawy zasługują na szczególne uznanie. Każda z dekoracyj jest skoncentrowanym wyrazem rokokowego stylu i sytuacji scenicznej. Nie ma w niej nic zbytecznego. Oszczędność środków, przy jednoczesnej pełnej ekspresji. To samo można powiedzieć o lalkach.

Zbyt długa aria wstępna księcia Wiolina, niezgodna z dynamiką teatru marionetek, oraz pewne niedociągnięcia w balecie, to usterki, które za cenę całości można darować.

Warto zanotować fakt, że Lublin w zupełności docenia wartość tego widowiska. Świadczy o tym szczelnie wypełniona sala na każdym przedstawieniu „Świniarka i królewny".

Zofia Kwakowa

Komunikat

W związku z konkursem na nowelę lub opowiadanie ogłoszonym przez Związek Zawodowy Literatów Polskich w Krakowie w maju 1945 r., jury konkursu zawiadomiło Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie, **że ze względu na** ogromną ilość nadesłanego materiału (przeważnie rękopisy) rozstrzygnięcie konkursu zostaje **przesunięte na dzień 15. I. 1946 r.**

Gawęda o książkach

Czy Polak czytujący książki i gazety wie coś o Stefanie Buszczyńskim, wybitnym publicyście drugiej połowy XIX wieku, jak wie o Naruszewiczu, Krasickim, Brodzińskim, Rzewuskim, Kaczkowskim — postaciach z poprzednich pokoleń? Wszak to jeden z najbardziej przewidujących umysłów polskich.

Przewidywania autora „Ran Europy", trafne uwagi o kulturze i cywilizacji świata, świetne sformułowania na temat Niemców, rozsypane w kilkudziesięciu tomach pism publicystycznych, głoszone w nich prawdy bardzo żywotne sprawiły, że podczas drugiej wojny światowej Buszczyński doczekał się zasłużonego renesansu. „Znaczenie dziejów Polski i walk o niepodległość" krążyło w Warszawie za lat okupacji z rąk do rąk. Cóż, kiedy istniało tylko w znikomej ilości egzemplarzy! Po jednym lub dwa egzemplarze z dawna wyczerpanych książek Buszczyńskiego znajdowało się w całej Warszawie, w jej bogatych księgozbiorach prywatnych...

Już Nowaczyński, przypominając społeczeństwu polskiemu świetnego pisarza w r. 1937 w „Wiadomościach Literackich", nazwał go szermierzem **nieznanym.** Starsze pokolenie w Małopolsce przypominało go sobie może z zapasów lokalnych ze Stańczykami, ale na teren Królestwa czasowa sława jego nie sięgała. Tendencje niepodległościowe, nieustraszoność w walce z zaborcami, winny mu były zjednać popularność w całym narodzie. Przeszkadzała w tym widocznie apologetyczna postawa wobec przeszłości Polski i wynikające stąd żarliwe apostolstwo zgody domowej oraz wewnętrznego pojednania między rodakami. O tym Polacy nie umieją słuchać, prawd o sobie w najmroczniejszych czasach niewoli należycie nie rozumieli i nie znosili, takie słowa płomiennych kaznodziejów puszczają w niepamięć. A może i germanofobia w epoce zwycięsko rosnącej potęgi pruskiej, datująca się na kilkadziesiąt lat przed głośnymi wystąpieniami Sienkiewicza, skazywała proroka z góry na niepopularność szkodząc jego rozgłosowi na szerszej arenie europejskiej? Wydane w r. 1867 w Paryżu główne dzieło Buszczyńskiego „La décadence de l'Europe", zjednało mu błyskotliwe zaszczytne uznanie, ale Sedan i żelazny kanclerz zagłuszyły ostrzeżenia polskiego myśliciela.

Kiedyś przy ladzie księgarskiej pewien młody i obiecujący pisarz zwierzył mi się, że od kilku lat rozczytuje się namiętnie w Buszczyńskim. Dumny był z posiadania kilku bardzo rzadkich broszur Buszczyńskiego, ogłoszonych pod kryptonimami, nie wymienionych nawet w bibliografii, zawartej w „przyczynku do dziejów naszych" pt. „Stefan Buszczyński i jego testament" (Kraków, 1892). Dowiedziałem się, że młody publicysta pracuje nad monografią Buszczyńskiego. Z czci dla niego poduczył się języka francuskiego, żeby poznać „La décadence de l'Europe", dzieła nie ogłoszonego rzekomo po polsku.

— Jak to nie wyszło po polsku?... — sięgnąłem do półki po spoczywający tam przypadkowo nierozcięty, dziewiczy egzemplarz „Upadku Europy". Rok wydania 1896, Kraków, nakładem Komitetu, stron 610.

Oczy mu zbielały.

— I ja, zaprzysięgły wielbiciel Buszczyńskiego, zawołany szperacz, o istnieniu polskiego wydania dzieła wcale nie wiedziałem! — zdziwienie jego nie miało granic.

— Ha, rzecz zwykła, jak to u nas: książka wydana została zapewne w nakładzie 300 lub 500 egzemplarzy. Rozeszła się wśród najbliższych zwolenników autora, w tym **ogranczonym kółku była doskonale znana,** lecz poza tym nigdzie niemal nie dotarła.

— Nie znać do dzisiejszego dnia kapitalnego dzieła Buszczyńskiego, to mniej więcej to samo, jakbym po czterech latach studiowania Mochnackiego nie zaznajomił się z jego „Powstaniem narodu polskiego w r. 1830 i 1831".

— Niezawodnie, daremnie szukalibyśmy książki Mochnackiego, gdyby wyszła tylko w pierwszym paryskim wydaniu: 1834, w drukarni p. Baudouin, przy ulicy Mignon' nr 2 (rare!).

Tutaj mamy przykład jaskrawszy, z autorem ledwie przedwczorajszym, zupełnie już zapomnianym, mimo jego żywotności i wybitnej aktualności w dzisiejszej dobie. Dlaczego nieznanym? Bo pisma Buszczyńskiego miały od razu charakter unikatów wychodząc gdzieś chyłkiem, skromnie, jak „Obraz europejskiego społeczeństwa" (dwa tomiki) **nakładem Z. Igla, Lwów, 1869;** „Oświata w Polsce i u Niemców, za Kopernika i w dzisiejszych czasach", **odbitka z „Dziennika Poznańskiego", nakładem Tygodnika Wielkopolskiego,** Poznań, 1873; „Cywilizacja niemiecka na ziemiach polskich", stron 32 **w albumie „Sobótka", Lwów, 1875;** „Die Wunden Europas. Statistisch — etnographische Tafel" **Slawische Buchhandlung, Lipsk, 1875;** „Wandalizm nowoczesny i honor dyplomatyczny", stron 51 w **„Albumie Muzeum Narodowego w Rapperswilu", nakładem Muzeum 1876;** „Znaczenie dziejów Polski"..., **nakładem „Warty", Poznań, 1882;** „Rachunek polskiego sumienia", „Rozmyślanie w niewoli", **nakładem K. Bartoszewicza, Kraków, 1883;** „Otchłań", „O domowych i zewnętrznych wrogach", **Kraków, 1892 (nakładem przyjaciół autora)...**

Usiłujcie, na przykład, znaleźć dowód inicjatywy, wspaniałomyślności i mądrości poznańskiej „Warty" roku pańskiego 1883!

Wielbiciel Buszczyńskiego nie wiedział również o istnieniu IV tomu „Obrony spotwarzonego narodu", który przypadkiem wpadł mi w ręce jednocześnie z „Upadkiem Europy". Obie rzeczy wyszperał w Krakowie pewien klasyczny antykwariusz z niebywałymi uzdolnieniami wyżła, węszący zwyczajowo za wszelkimi unikatami w zakresie druków polskich. W ciągu 20 lat intensywnego życia wśród książek polskich, nigdy nie spotkaliśmy się przedtem z jednym ani drugim obiektem. Co do czwartego tomu „Obrony", wyszedł on tylko w drugim wydaniu, w ramach pośmiertnych „Dzieł zbiorowych", o których też mało kto poza zbieraczami, pamiętającymi je niegdyś masowo butwiejące w pokątnej antykwarni krakowskiej, cokolwiek słyszał.

Co tu marzyć o upowszechnieniu dzieł naszej wysokiej kultury duchowej wśród ludu, jeżeli nie podobna mówić o znajomości pierwszorzędnych zjawisk kulturalnych wśród osób zajmujących się nimi codziennie, od rana do wieczora, specjalistów, rzeczoznawców? Jak tu marzyć o obecności wieszcza pod strzechami, kiedy w żadnej księgarni prowincjonalnej niesposób nabyć „Pana Tadeusza"? Jakże mówić o kulcie autora „Lalki" bez udostępnienia wszystkim tej znakomitej powieści? Czy może być sporo ludzi, poza inteligencją, znających na wylot całego Sienkiewicza, skoro nie mogą doprosić się w księgarni lub czytelni nawet „Trylogii", bo jest w większości miast polskich nie do zdobycia?

Drugi przykład. W pierwszych latach wojny zadzierzgnęła się między księgarzem i klientką przyjaźń ideowa na tle poszukiwania materiałów do historii ilustracji polskiej. Osoba ta zdołała zgromadzić piękny zbiór sztychów, litografii, miedziorytów i różnych ozdobnych dzieł, między którymi akwatinty Norblina, litografie kolorowane Oleszczyńskiego, Zienkowicza, miedzioryty Piwarskiego, Zaleskiego, Lewickiego, drzeworyty Smokowskiego „i tym podobne", należały do przedmiotów największej dumy.

Pokazałem jej kiedyś „Wzory polskiej sztuki średniowiecznej" Przeździeckiego i Rastawieckiego.

— Co za cuda! Przepyszne litografie!

O istnieniu czegoś podobnego w literaturze polskiej nie miała pojęcia.

Oczy jej już nie tylko zbielały, ale wyszły z orbit. Czy to możliwe, aby doktor filozofii, mianująca się historyczką sztuki, zdradzała podobną nieznajomość podstawowych rzeczy w dziedzinie swych specjalnych zainteresowań? Ignorancja in summo gradu, wręcz nie do wiary? Od długich lat — jak mówiła ta pani o sobie — „grzebała się w sztuce" wyławiając mnóstwo rzadkich kwiatów ilustracji polskiej, a nie słyszała o dziele Przeździeckiego i Rastawieckiego, tudzież o mistrzowskich litografiach Fajansa... Ejże, historia z nieprawdziwego zdarzenia!

A jednak usprawiedliwiam całkowicie „niezrozumiałą" ignorancję wykształconej entuzjastki sztuki polskiej. Przebywała całe życie na Pomorzu, nie spotkała tam nigdy w bibliotekach ani za granicą „Wzorów polskiej sztuki średniowiecznej", jakkolwiek umiała szukać. Dzieło wydane w ósmym dziesięcioleciu sumptem magnata w 300 egzemplarzach, utonęło w zbiorach prywatnych na terenie Królestwa, po trosze w Warszawie i po trosze w dworach kresowych. Pełny komplet 3 tomów dzieła, sławnego w kołach miłośników sztuki, należy dzisiaj do wyjątkowych rzadkości w rzędzie wybranych polskich cymeliów. Należy wziąć pod uwagę, że charakter każdej polskiej książkowej rzadkości spotęgował się niepomiernie od czasu nieszczęsnego powstania warszawskiego.

Mamy wszakże kardynalne braki w dziedzinie bibliografii poszczególnych gałęzi wiedzy. Ludzie nauki i pióra odkrywają u nas wciąż Amerykę po raz drugi, dziesiąty i czasami setny. Wiele klejnotów myśli i twórczości polskiej pozostaje ukrytych w cieniu i tajemnicy, tonie w zapomnieniu.

Jeżeli zasadniczą niewiedzę o ważnych zdobyczach naszej kultury, nierównoznaczną wcale z nieuctwem, zdradzają zawodowe jej sługi, cóż tu marzyć o **upowszechnieniu kultury w całym kraju?**

Jakże nam daleko do oświaty w całym znaczeniu wyrazu, **oświaty powszechnej,** godnej tęgich zdobyczy kultury polskiej, wartości żywotnego narodu!

Antoni Trepiński

W poprzednim (54) numerze „Odrodzenia" z dnia 9 grudnia: Aleksander Bocheński: Kongres Wiedeński w dziejopisarstwie polskim. — **Artur Sandauer:** Geniusz niezrealizowany. — **Maria Szczepańska:** W ciemności. — **Tadeusz Sokół:** Mój dom. Towarzyszce. — **Wacław Kubacki:** Z dziejów wyobraźni poetyckiej. — **Bolesław Dudziński:** Jak stawiać tamy kłamstwu? — **Jan Alfred Szczepański:** Dwa dramaty. Sztuka Bieńkowskiej. Sztuka Ważyka. — **Józef Sieradzki:** Chybiona próba. — **Jerzy Pogonowski:** Książka o partyzantachTita. — **Tadeusz Breza:** W teatrach krakowskich. — **Stefania Łobaczewska:** Z życia muzycznego Krakowa. — **Antoni Trepiński:** Gawęda o książkach. — **js: Fakty i zagadnienia.** — **Stanisław Helsztyński:** Stwórzmy „Bibliotekę Ziem Odzyskanych". — **zb: Przegląd prasy.** — **js:** Zamiast anegdoty. — **b:** Prestige. — **z:** Ruch wydawniczy. — **ms:** Potęga rymu. — **3 ilustracje (jeden rysunek F. Kowarskiego). — 8 stron.**

PRZEGLĄD PRASY

Głosy o Mickiewiczu w dziewięćdziesiątą rocznicę jego śmierci nie były liczne. Przeoczenie przez periodyki literackie tej chwili tak odpowiedniej do sprecyzowania — poprzez ukazanie stosunku do Mickiewicza — postawy ideowej pokolenia, którą przeżyło najstraszliwszą z wojen w obronie narodowego bytu, jest faktem o negatywnym znaczeniu kulturalnym.

Mickiewiczjana są ubogie. Składają się na nie poza specjalnym zeszytem „Twórczości" i artykułami w „Odrodzeniu" wypowiedzi prasy codziennej. Wypowiedzi te pośpieszne i często niepogłębione myślowo, odznaczają się tym jednak, że mają ścisły związek z problematyką życia i w skrócie, lapidarnie przedstawiają schemat potocznej myśli społeczeństwa o aktualności ideowej i artystycznej poety. Wśród wypowiedzi tych nie brak również głosów poważnych (przede wszystkim Jana Brzozy, Juliana Krzyżanowskiego i Jerzego Zawieyskiego), wyrażających tęsknę o pogłębienie mickiewiczowskiego zagadnienia.

„Każde pokolenie" — pisze w „Dzienniku Polskim" **Jerzy Zawieyski** — „każdy okres ma swojego Mickiewicza.

Okres wojny sięgał do historiozofii poety, do jego moralistyki i koncepcji człowieka, do przesłanek filozoficznych, tłumaczących tragedię narodu, jego cierpienia i ofiary.

Dziś, u progu nowej epoki zwracamy się w stronę poety nie dla samej radości odkrywania ciągle żywych związków, lecz z potrzeby zasilenia się jego myślą i wielkością jego dążeń.

Powiedzmy to od razu, mając w pamięci całą twórczość poety i jego działalność publiczną, że ten typ kultury, jaki reprezentuje sobą Mickiewicz, jest szczególnie bliski nam dzisiaj, nie przez identyczność całkowitą, lecz przez **ten sam proces buntu i proces dążenia** i w końcu przez podobieństwo celów i podobieństwo stosunku do życia.

Nasze dążenia do odmiennego widoku świata i do odrodzenia kultury wynikają, podobnie jak u Mickiewicza, nie z przesłanek intelektualnych, lecz z konieczności dziejowej chwili, jaką przeżywamy, z konieczności życia, z instynktu. Na drodze tych zmagań o inny typ społecznego bytowania i o odmienny typ kultury, spotykamy się z Mickiewiczem".

Kształtowanie się nowego świata dzisiaj, troska nas wszystkich o prawidłowość tego kształtowania w stosunku do naszych pragnień, sprawiają, że zwracamy uwagę na tę część działalności twórczej Mickiewicza przede wszystkim, gdzie **humanizm i kultura zostały** w bliski naszemu rozumieniu sposób wypowiedziane. I bliski nam jest właśnie ten okres jego życia, w którym **wolność, demokracja, socjalizm** wypowiedziane zostały przed stu laty jak wezwanie do dzisiejszej walki.

Okres „Trybuny Ludów" nigdy jeszcze nie znalazł tak szerokiego oddźwięku. Można śmiało rzec: oddźwięku społecznego. W dziejach wrażliwości narodowej na Mickiewicza nigdy jeszcze nie miał ten okres takiego jak dziś znaczenia. W okresie niewoli, jak również w okresie międzywojennej niepodległości mało komu zależało na tym, by Mickiewicz cały, a przede wszystkim ten z „Trybuny Ludów" stał się dla narodu dostępny, upowszechniony.

„Mickiewicz, naczelny redaktor międzynarodowego czasopisma „Tribune des Peuples", — pisze w „Polsce Zbrojnej" **Stanisław Ryszard Dobrowolski** — „Mickiewicz legionu rzymskiego i autor demokratycznego „składu zasad", wreszcie Mickiewicz w Turcji. Mickiewicz znajdujący śmierć na żołnierskim barłogu wśród kozaków Czajkowskiego, umierający z marzeniem o zrealizowaniu idei „legionu" który by podjął walkę z despotyzmem ugniatającego Europę caratu — to zaiste jeszcze dzisiaj „istota nieznana".

A właśnie ten Mickiewicz jest dzisiaj tak bardzo bliski nam i tak aktualny.

„Czytając niektóre jego artykuły" — pisze w „Trybunie Robotniczej" **Jan Brzoza** — „ma się wrażenie, że pisane są dziś a nie dziewięćdziesiąt sześć lat temu. Mickiewicz jako autor artykułów „Trybuny Ludów" występuje przed nami w mało znanej, bo przez histbryków przemilczanej roli demokraty w całym tego słowa znaczeniu, któremu nie obce są nawet ideały wczesnego socjalizmu. Mickiewicz jako założyciel „Trybuny Ludów", pierwszego pisma solidarności międzynarodowej w sprawach walki o lepsze jutro, to postać naprawdę należąca do rzędu tych, którym umęczona ludzkość winna jest wdzięczność".

Postępowa prasa codzienna ten okres twórczości Mickiewicza słusznie podnosi. „Głos Pracy", „Dziennik Zachodni", socjalistyczna „Pobudka", „Młodzi Idą", „Głos Robotniczy" — cytują z „Trybuny Ludów" słowa mickiewiczowskie, odpowiadające naszym aktualnym potrzebom narodowo-społecznym. Przedrukowany w „Trybunie Robotniczej" artykuł Mickiewicza o socjalizmie wydaje się, jakby był, jeśli nie dzisiaj, to w bardzo niedalekim wczoraj napisany.

Dlatego nie ma słuszności „Gazeta Lubelska", gdy omawiając „całą" twórczość Mickiewicza tak ocenia polityczny okres jego działalności:

„Późniejsze pisma polityczne Mickiewicza („Trybuna Ludów") straciły na barwie świeżości, gdyż związane były ściśle z chwilą bieżącą i problemami, które już od dawna zostały w ten czy inny sposób rozwiązane".

Po co powtarzać stare sądy, których jedyną charakterystyczną cechą jest to, że nie są prawdziwe?

Po co zaciemniać to, co samo życie na kartach historii literatury rozjaśnia?

Z wielu źródeł myśli i serca płynie do nas poprzez wiek nurt mickiewiczowskiej aktualności. Z poezji, filozofii, postępowej ideologii społecznej. Ponad tą różnorodnością wpływów jest jego jedność, jedność psychiczna twórcy. — „Nazywam się milion, bo za miliony kocham i cierpię katusze", oto — pisze w „Rzeczypospolitej" **Julian Krzyżanowski** — „wyraz zespolenia podstawowych czynników psychiki Mickiewicza, zespolenia osiągniętego na tak niezwykłych, że niemal poznaniu ludzkiemu niedostępnych wyżynach, w klimacie, w którym żyją i dojrzewają jednostki wyjątkowe i dla wyjątkowości swej określane mianem geniuszów".

W tym skromnym, nie przez wszystkich zauważonym nawet obchodzie mickiewiczowskim najbardziej brakło jego dzieł. A brak ten nie jest niezauważony.

Dlatego jak najdalej dotrzeć winna notatka **Leona Płoszewskiego** w „Twórczości" „O wydaniu sejmowym i o wydaniu narodowym Mickiewicza". Czytamy między innymi:

„Odradzająca się ponownie Polska znowu sięga do Mickiewicza! Z inicjatywy Departamentu Literatury Krajowa Rada Narodowa powzięła 5 maja uchwałę o narodowym wydaniu Mickiewicza, które ma „dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorowym opracowaniu krytycznym i typograficznym".

Wiadomość ta winna wzbudzić czujność społeczeństwa, które może zainteresowaniem swoim dopilnować, by uchwała została wykonana. By to nie była jeszcze jedna uchwała o Mickiewiczu niespełniona. **zb**

ZNAKOMITE
WYROBY
„Suchard"
NAJLEPSZYM
PODARKIEM
NA GWIAZDKĘ

List ze wsi

Panowie Muzycy! Z dalekiej, sądeckiej wioski piszę do Was, tak z chłopska, prosto, jak umiem, te parę słów i pomijając zwyczajowe w chłopskich listach pytanie o zdrowie i powodzenie, przystępuję z miejsca do sprawy:

Po ukończeniu działań wojennych, po jakim takim otrząśnięciu się z marazmu okupacyjnego, zaczyna na wsi w szybkim tempie rozwijać się życie kulturalne. Chude ono jeszcze i ubożuchne, o charakterze dzikawym, bez ładu, planu i myśli przewodniej — jednak jest, rodzi się, rozrasta — daje znać, że wieś się budzi. Młodzież, zwłaszcza ta, która pracowała za czasów okupacji w organizacjach konspiracyjnych — żywiołowo się zrzesza, tworzy teatry, chóry, orkiestry.

Świadczy to o głodzie piękna, jaki odezwał się w surowych, a jednak czułych na sztukę duszach chłopskich. Świadczy to, że chóry ptaszęce i solowe popisy skowronków i słowików, aczkolwiek piękne i niezastąpione, nie wystarczą już i nie zaspokoją kulturalnych potrzeb wsi. Ludzie łakną muzyki, łakną śpiewu, kochają je i tęsknią do piękna zawartego w dźwiękach i tonach. Dźwięki i tony — to najmilsze chłopu słowa, to wyrazy najczulsze i najłatwiej trafiające do jego serca i duszy. Muzyka to najpiękniejsza mowa, to właśnie z elementów piękna i kultury zjawisko najbardziej na wsi uwielbiane, najchętniej przyjmowane i pojmowane.

Wyrazem tego właśnie jest wspomniane już samorzutne tworzenie się zespołów chóralnych i orkiestralnych. Zespołów takich powstało już tysiące, a wnet powstanie ich drugie tyle.

Pięknie, prawda. Ale... w tej pięknej gałęzi jest sęk, a w sęku nie przewidziana dziura i fujarka grać nie chce. A po prostu mówiąc, zespoły nie mają wcale repertuaru — chóry nie mają co śpiewać, orkiestry co grać. Zespoły drzemią i ziewają, a po dłuższym ziewaniu... rozlatują się.

Nie mają repertuaru — w Polsce, gdzie kultura muzyczna jest tak bogata i tak piękna. Czy to nie dziwne, smutne i śmieszne zarazem? I czy nie można by temu zaradzić?

Więc do Was, Panowie Muzycy. Na łamach pisma o aktualnej nazwie ślę wołanie o pomoc; S. O. S. — ratujcie nasze... pulpity, a i dusze też, a właściwie to o to tylko chodzi.

Bo trafia się, że repertuary są. A jakże, są, sklecone prawie wyłącznie z Karasińskich, Petersburskich, Goldów — w rzadkim wypadku dziadzio Strauss. I ta cała tragifarsa pana Warsa i spółki stanowi duchową strawę wsi. W cieniu foksów i tang, w oparach sentymentalnych bzdur firmy Gold i Włast wychowują się młode pokolenia chłopskie, nimi sycą głód dźwiękowego piękna, nimi kultywują swój muzyczny smak i gust, a raczej nogi. Skutki tego — dośpiewajcie sobie sami.

Więc do Was, Panowie Muzycy — Muzycy przez duże M, Muzycy z prawdziwego zdarzenia, do Was w imieniu wsi piszę z prośbą: pomóżcie nam, pomóżcie wsi i małym miasteczkom, gdzie śpiewacy, muzykanci i publiczność, pełni płomiennej miłości ku pięknu, maniacy nut, skrzypkowie, klarneciści, trębacze — wyglądają rzetelnych wydawnictw muzycznych, jak kania deszczu, jak Żydzi manny.

Więc piszcie, Panowie, niezbyt trudno, ładnie, efektownie. I wydajcie, ale prędko. Kto szybko daje, ten dwa razy daje. Dajcie więc hojną ręką bogaty pokarm piękna — niech się sycą i uduchowiają słuchacze, niech się kształtują wykonawcy.

Jeśli chodzi o techniczną stronę zagadnienia, na jakie składy pisać, to według mojej orientacji, w terenie przeważają chóry mieszane, 4 głosowe, a z orkiestr zespoły o charakterze symfonicznym, w składzie: skrzypce pierwsze i drugie, altówka, klarnet I i II, flet, kornety jeden lub dwa, waltornie, puzon albo baryton i kontrabas dla muzyki poważniejszej, zaś dla muzyki tanecznej małe zespoły wiejskich kapel o składzie: skrzypce I i II, klarnet, kornet i kontrabas, czasami puzon lub flet. Takie zespoły są najliczniejsze i dla nich wydawane utwory cieszyłyby się największym pokupem.

Do pracy zatem, Panowie. Do zobaczenia na witrynach księgarń — do usłyszenia na estradach i scenach.

Librantowa, w grudniu 1945. **Józef Bieniek**

CZYTELNIK

MARIA KOWNACKA

O SZEWCZYKU ŁUKASZKU, CO SZYŁ BUTY DLA PTASZKÓW

ILUSTROWAŁ KAZIMIERZ GRUS

CENA 40 ZŁ

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

O poziom dyskusji

Pan WB. w „Dziś i jutro" w związku z moim artykułem „Głos Marksisty" („Odrodzenie" nr 51) posądza mnie niesłusznie o dwa przykre grzechy:

1. jakobym zarzucił ks. Piwowarczykowi brak kompetencyj w sprawach filozoficznych,

2. jakobym wymagał, aby dyskutujący z marksistą na tematy światopoglądowe katolik używał języka marksistowskiego.

Otóż bardzo cenię wiedzę filozoficzną, talent i inteligencję ks. Piwowarczyka, zdecydowanie uznaję prawo katolików do obrony swego światopoglądu w języku pojęć filozofii katolickiej. Bardzo bym chciał, aby dyskusja światopoglądowa rozwijała się w Polsce możliwie najżywiej.

Ponieważ nie chciałbym, aby z racji fałszywego pojmowania mego stanowiska odmawiano mi prawa do udziału w tej dyskusji, zaniepokojony dziwnie niemerytorycznym tonem odpowiedzi ks. Piwowarczyka („Tygodnik Powszechny") — pragnę parę spraw wyjaśnić.

1. W artykułach ks. Piwowarczyka wytykałem nie brak kompetencji w sprawach filozoficznych, ale ogólnikowość twierdzeń. Ta ogólnikowość zachęca do niebezpiecznych błędów myślenia u dyskutujących, pozwala bowiem każde pojęcie dowolnie interpretować.

2. Wykazywałem, iż próby tradycyjne podawania „dowodów" istnienia tylko ducha, tylko materii, ducha i materii obok siebie, są dziś już dobrze opisanym w katalogach moralności umysłowej nadużyciem.

3. Wykazywałem, iż należy ustalić to, co można dość ściśle rozstrzygnąć: **czy są i jakie związki logiczne** między poprawnymi formalnie i uprawdopodobnionymi empirycznie współczesnymi teoriami naukowymi a filozofią materialistyczną i filozofią spirytualistyczną.

4. Wskazując **tylko** właściwą jak sądziłem **metodę dyskusji** — jedynie ogólnikowo nadmieniłem, że znane mi są te związki między nauką a materializmem dialektycznym, a nie znane między nauką a idealizmem spirytualistycznym.

5. Nie narzucałem katolikom języka marksistowskiego. Sądy ogólne o rzeczywistości filozof marksista winien formułować w swoim — filozof katolicki w swoim języku.

Chciałem rzec tylko, iż to są języki zgoła nawzajem nieprzekładalne.

Toteż dyskusja między katolikiem i marksistą nie powinna polegać na przerzucaniu się swoimi biegunowo różnymi tezami o rzeczywistości. Zacząć należy od przedyskutowania poprawności samych systemów przeciwstawiających się. Przedmiotem dyskusji nie byłaby zatem rzeczywistość, o której mówić można (bo mówi się) i po katolicku i po marksistowsku. Przedmiotem dyskusji byłyby dwie teorie. Rozprawa nad teorią to nie to samo co rozprawa nad tym, o czym ta teoria orzeka.

Analiza teorii — to analiza pewnego tworu językowego. Dokonywuje się ona poprawnie, jak mówią semantycy, w języku bogatszym, niż język badanej teorii. Ponieważ jest to język, w którym mówimy o innym języku, o tworze językowym, o teorii — nazywamy go metajęzykiem. Winien on obejmować wszystkie pojęcia języka czy języków badanych, a nadto pojęcia morfologiczne, pozwalające opisywać formy badanych języków.

Otóż od katolika dyskutującego z marksistą i od marksisty dyskutującego z katolikiem wymagam, aby w takim metajęzyku, w języku metodologii zbadali poprawność i sensowność stawianych przez siebie pytań. I tyle chyba wolno pragnąć nie będąc posądzanym, iż z góry wymagam od dyskutującego, aby był marksistą. Chodzi tylko o ścisłość i naukowość.

Pytania ks. Piwowarczyka nie były ścisłe. Wskazałem na to. I dodałem, że pytanie ścisłe nie dotyczy ani istnienia ducha, ani istnienia materii, ale związków logicznych między nauką a pewnymi zbiorami ogólnych twierdzeń.

6. Dyskusji merytorycznej z ks. Piwowarczykiem nie podjąłem, bo nie mogłem zrozumieć sensu jego ogólnikowych tez. Mógłbym mu tylko przeciwstawić — niezależnie od jego twierdzeń — mój światopogląd. Oczywiście mam zamiar pisać kiedyś o światopoglądzie marksistowskim. Ale po co miałbym to robić pod pozorem dyskusji z ks. Piwowarczykiem? Podstawą dyskusji jest wzajemne rozumienie się.

Ogólnikowość twierdzeń, nieścisłość pojęć w artykułach ks. Piwowarczyka całkowicie, z góry, dla każdego, nawet dla zwolennika to porozumienie wykluczała. Ks. Piwowarczyk napisał swój artykuł tak nie dlatego, że inaczej nie można lub, że inaczej nie umiał, ale dlatego, że **nie chciał** napisać inaczej, niż się dotąd na odczepne w popularnej publicystyce pisywało.

Artykuł może być wzruszający i wtedy jest dziełem sztuki publicystycznej. Ale, aby był sensowny, aby odpowiadał bardzo ścisłym rygorom rozumienia — musi spełniać pewne warunki. Do spełnienia tych warunków wzywał amatorów dyskusyj światopoglądowych mój „Głos marksisty". Filozofia jest moją pasją. Nie jestem cynikiem. Przejmuję się i gotów jestem naprawdę ustąpić przed argumentem. Dlatego walczę o możliwość poważnej naukowej dyskusji filozoficznej w Polsce. To jest sprawa równie ważna dla ludzi myślących — jak zręczne chlastanie przeciwników dla polityków.

Proszę wszystkich katolików, którym sprawa szukania prawdy jest droga, niech mi w tym nie przeszkadzają. Podyskutujmy ściśle, naukowo, poważnie. Niech ludzie myślący usłyszą raz argumenty. Po co powtarzać frazesy? Przecież frazesy obu obozów są nieprzekonywające.

Stefan Żółkiewski

Polska za granicą

Czołowy angielski miesięcznik „The Burlington Magazine", którego naczelnym redaktorem jest znakomity historyk sztuki dr Tancred Borenius, styczniowy swój zeszyt br. wypuścił z podtytułem „Polish Number" i w całości zapełnił go rozprawami autorów polskich o pomnikach sztuki polskiej czasów dawniejszych.

Na czele stoi tu dr Karol Estreicher z obszernym artykułem o architekturze polskiej epoki Odrodzenia. Autor skreślił barwny obraz powstania w Polsce budownictwa renesansowego jako odnogi przemożnego ruchu plastycznego we Włoszech, najbardziej na północ wysuniętej, przy czym potrąca o analogiczne zjawiska w Anglii. Szczegółowo rozpatrywane są Zamek Wawelski i Sukiennice, z podkreśleniem rozmiarów tych pomnikowych budowli, które mają niewiele równych sobie na Zachodzie, zwłaszcza zaś kaplica Zygmuntowska. Piękne zdjęcia, do których poza Krakowem dołączono jeszcze motyw pałacu w Baranowie oraz gmach ratusza w Sandomierzu, ilustrują tekst prof. Estreichera.

Jerzy Żarnecki daje przegląd rzeźby renesansowej w Polsce wieku XVI, zatrzymując się na dwu głównych postaciach: mistrzu włoskim Padovano i wybitnym polskim rzeźbiarzu, Janie Michałowiczu z Urzędowa. Charakteryzuje rozwój i osiągnięcia twórcze obu i omawia ich dzieła: medale rodziny Zygmunta I, wykonane przez Padovana i liczne jego nagrobki, wśród których harmonią ogólną i prostotą artystyczną, zdaniem Żarneckiego, dzierży prym pomnik Barbary Tarnowskiej w katedrze tarnowskiej. Wśród tworów Michałowicza najudatniejszy nagrobek biskupa Padniewskiego w katedrze krakowskiej powstał w jakie 40 lat po najlepszym z dzieł Padovana. Dobór ilustracji do tego artykułu jest również bardzo umiejętny.

Anna Maria Mars zaznajamia czytelników angielskich z rozwojem sztuki malarstwa miniaturowego w Polsce w pierwszej połowie wieku XVI, której zabytki przechowały się w kosztownych tomach pergaminowych. Przede wszystkim idzie tu o nieznanego autora wspaniałego „Kodeksu Baltazara Bahema" oraz o Stanisława Mogiłę, którego twórczość obficie jest ilustrowana mistrzowskimi jego miniaturami z „Pontyfikatu Erazma Ciołka" i modlitewników Zygmunta Starego, królowej Bony i Wojciecha Gasztołda. Niestety, z miejsca ich powstania w Krakowie stopniowo powędrowały one do zbiorów publicznych w Londynie, Oxfordzie i Monachium.

Cykl rozpraw zamyka Stefania Zahorska rzeczą o ludowych wpływach w kościelnym polskim malarstwie renesansowym, do której udało się dołączyć kilka zdjęć z malowideł kościelnych.

Nie można pominąć milczeniem ciekawego wstępu do zeszytu polskiego „The Burlington Magazine", zapewne pióra dr Boreniusa. Autor z żalem podkreśla bardzo małą znajomość sztuki polskiej w państwie brytyjskim i choć bezpośrednich łączników artystycznych między Polską a Anglią w wieku XVI wskazać nie można, podaje jednak przykład związków i zetknięć: pobyt w Polsce w 1574 r. znakomitego angielskiego męża stanu, wojownika i poety Filipa Sidney, któremu według legendy miano ofiarować koronę polską po ucieczce Walezjusza. Przyjaźń łączyła Jana Łaskiego z teologami angielskimi Latimerem i Cranmerem. Popularność zdobyło w Anglii dzieło Wawrzyńca Goślickiego, biskupa kamieckiego i poznańskiego „De optimo senatore", które wyszło z druku w Wenecji w r. 1568, a doczekało się w przekładach angielskich aż trzech wydań w latach 1568, 1607 i 1733. Można przypuszczać, że Szekspir znał dzieło Goślickiego i może w związku z tym pozostaje w „Hamlecie" imię i typ Poloniusza. Sam Goślicki zresztą w jednym ustępie swego dzieła wyraża się z wielką sympatią o Anglii.

Z kwietniowego zeszytu tegoż czasopisma londyńskiego dowiadujemy się, że w r. 1943 w Sztokholmie wyszła niewielka ilustrowana książka w języku szwedzkim i polskim pod tytułem „Polonica", której autorem jest Karl Eric Steneberg. Dotyczy ona rzeczy polskich, przechowywanych w znakomitym „Muzeum Broni" (Kungl. Lionstkammaren) stolicy szwedzkiej.

Steneberg wraz z dyrektorem Muzeum Broni, Rudolfem Gederstrómem od dawna przygotowują wyczerpującą monografię o dziełach sztuki polskiej w publicznych zbiorach szwedzkich, a wydana przed dwoma laty książka stanowi część przyszłego obszerniejszego dzieła.

Z szeregu przedmiotów pochodzenia polskiego, opisanych przez Steneberga, efektem artystycznym oraz znaczeniem historycznym szczególnie wyróżniają się następujące dwa: kompletna zbroja dla jeźdźca oraz konia, wykonana dla Zygmunta Augusta około r. 1550 przez znakomitego płatnerza Kunza Lochnera w Norymberdze. Do Szwecji zbroja się dostała jako prezent Anny Jagiellonki dla króla szwedzkiego Jana III. Bardziej jeszcze zaciekawia cykl malowanych obrazów (ogólnej długości około 15 metrów), przedstawiających orszak ślubny Zygmunta III i księżniczki austriackiej Konstancji, z Sebastianem Sobieskim na czele. Malowidła te są bardzo cennym dokumentem dziejowym, a także niezrównanym materiałem ikonograficznym. Autorem cyklu był przypuszczalnie malarz wiedeński Baltazar Gebhard, uczestnik orszaku księżniczki rakuskiej przy jej wjeździe do Krakowa.

Paweł Ettinger

Węgiel i ludzie

Nareszcie jest i pomyślna wiadomość ze Śląska w miejsce ciągłego wyrzekania. Trzeba ten uśmiech wyłowić z grubego poszytu zadrukowanego maszynowym pismem i długimi kolumnami cyfr. Tytuł fascykułu jest możliwie niestrawny. „Biuletyn prasowy, komunikat nr 4" (za miesiąc październik 1945 r.). Podaje: Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego. Ale treść jest warta trudu lektury.

Państwowy plan wydobycia węgla w październiku bieżącego roku przewidywał 2 565 000 ton, faktycznie wydobyto 2 915 714 ton, czyli zrealizowano plan w 114,5%. Wśród 11 zjednoczeń, które wykonały normę, czołowe miejsce zajęło Zjednoczenie Zabrskie: miało wydobyć 162 000 ton, wydobyło 235 733 tony, tj. 145,5%. Wzrost wydajności dziennej robotnika w tym zjednoczeniu w porównaniu z sierpniem wyniósł w październiku 10,4%, w Bytomskim 9,8%. Rolę zjednoczenia w ogólnym obrazie produkcji polskiej oświetla fakt, że na 92 milionów ton węgla wydobytego w wszystkich kopalniach, które znajdują się obecnie w granicach Polski, kopalnie Zabrskie dały około 10 350 000 ton, tj. 11,2%.

Robimy więc postępy i to w warunkach wcale nie lekkich. W marcu bieżącego roku trzeba było zaczynać pracę od samych podstaw, odtwarzać wszystko z natury. „A majątek to duży, bo poza sześciu kopalniami, z których pięć posiada zdolność wydobywczą powyżej 5 tysięcy ton dziennie, objęliśmy dwie koksownie, 3 cegielnie, dwa tartaki i trzy folwarki". Folwarki obsiano i obsadzono, tartaki przecierają dłużyce, a stan załóg z niespełna 3 500 osób w kwietniu wzrósł do 7 200 nie licząc 4½ tysięcy jeńców niemieckich. Nadto trzeba było zmienić zniemczony personel umysłowy i przeprowadzić weryfikację narodową robotników, która wypadła pomyślnie dla 95%. „Okazało się, że tu właśnie na kopalniach, a zwłaszcza wśród najciężej pracujących na dole górników przetrwała mimo wiekowej niewoli mowa polska i duch polski". Nie można opędzić się myśli o nadmiernej względności obranego probierza, choć utylitaryzm dyktuje pragmatyczne stanowisko przy najszerzej otwartych oczach na wszystko, co dotyczy repolonizowanej masy ludności.

Największych wysiłków wymagają sprawy techniczne. Z dolnego poziomu kopalni Miechowice trzeba było wypompować około 200 000 m³ wody i jeszcze przyjdzie odtopić zalany poziom pośredni. Ubył turbogenerator o mocy 15 000 kw na kopalni Mikulczyce, a niedostatek prądu jest mocno odczuwany, zwłaszcza że ruszają już huty i zakłady metalurgiczne.

Zamówiono więc w Szwecji 3 turbogeneratory o łącznej mocy 35 000 kw i 6 kotłów parowych do nich i myśli się o kontynuowaniu inwestycji, doprowadzeniu do końca budowy szybu „Gigant" na kopalni „Rokitnica" (12 tys. ton dziennie!), rozbudowie elektrowni, budowie płuczek, instalacji zamułkowych, odbudowie koksowni. W rozważaniach co lepsze, rekonstrukcja starych kopalń, czy budowa nowych, wybór przechyla się na stronę budowy nowych kopalń. Aktualnie zaś martwimy się, że w związku ze zdolnością produkcyjną elektrowni, do sierpnia 1946 roku będziemy musieli hamować rozwój wydobycia, które ustali się na 12 do 15 tysięcy ton dziennie.

A szkoda, bo przy głodzie węglowym w świecie, można by wyzyskać wyjątkową konjunkturę i zdobyć kapitał na inwestycje niezbędne w celu dostosowania się do światowego kryzysu węglowego. Według przewidywań nastąpi on za dwa, trzy lata.

Więc załoga robotnicza i aparat kierowniczy Zrzeszenia Zabrskiego krzątą się po gospodarsku około swoich złoży węglowych, szacowanych na 300 milionów ton dobrego — w tym także koksowego węgla — choć oceniając wzrost wydajności pracy, nie należy tracić z oka blisko 5 tysięcy jeńców zatrudnionych w kopalniach. Tajemnica sukcesów — na wszelki wypadek nie wolno ich przejaskrawiać! — leży nie tylko w sprawach technicznych, organizacyjnych i zaradności w urządzaniu aprowizacji. „Na wydajną pracę robotnika składa się wiele innych, niemniej ważnych czynników duchowych podnoszących jego poczucie godności zawodowej". Nade wszystko świadomość, że nie jest eksploatowany dla osobistych korzyści właściciela zakładu, jest bowiem sam jego współgospodarzem.

Łączy się z tym po raz pierwszy w historii robotnika śląskiego poczucie socjalnych praw, ochrony i opieki, oraz korzystanie z urządzeń kulturalnych: 8 świetlic zorganizowano przy kopalniach, jest własny dom wypoczynkowy w Głuchołazach, 4 przedszkola z dożywianiem dzieci, półkolonie, kolonie prewentoryjne, 3 żłóbki dla dzieci pracujących kobiet, fachowa opieka lekarska, pielęgniarki, specjalne odżywki, tran dla dzieci i ciężarnych matek, wieczory świetlicowe, literackie, koncerty, gry towarzyskie, sporty, nauka w szkołach dokształcających, na kursach zawodowych, w szkole przemysłowo-górniczej ze ścieżką na wszechnicę. Są kursy języka polskiego dla młodzieży i starszych. W usunięciu pokostu germanizacji odegra rolę wprowadzenie polskiej nomenklatury materiałów pomocniczych, obejmującej około 10 tysięcy nazw, używanych w magazynach technicznych.

„Już trzeci miesiąc przodujemy w wydobywaniu węgla" — piszą o Zrzeszeniu Zabrskim.

„Idziemy naprzód".

Zostawiają za sobą niedowiarków, pesymistów, malkontentów i defetystów.

Js

SPROSTOWANIE

W nr 54 „Odrodzenia" uległy zniekształceniu dwa zdania: W artykule A. Bocheńskiego „Kongres Wiedeński" na str. 2 w rozdziale „Było tak" ma być: „Ile było w podtrzymaniu tej decyzji udziału Czartoryskiego...". W recenzji książki L. Staronki na str. 6 ma być: „Pozarozumowy intuicjonizm nie daje się skontrolować ścisłą konstrukcją myślową".

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

DYMY NAD BIRKENAU

STRON 302 CENA ZŁ 140

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62.
M — 06239 Prenumerata miesięczna 21 zł, kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".